



LEGENDY

WIELKOPOLSKI



LEGENDY

WIELKOPOLSKI

QUIXI MEDIA
www.quixi.pl

- 4 KSIĄŻĘ MIESZKO I I PEWIEN ŻUBR (BUK)
- 9 ORLE GNIAZDO (GNIEZNO)
- 14 O GÓRZE ZAMKOWEJ (GOSTYŃ)
- 20 O CZARNEJ DAMIE (GRODZISK WIELKOPOLSKI)
- 25 O DZIEDZICU JAROCIŃSKIM
- 30 JAK CI ZATNĘ POD DUPINO... (JUTROSIN)
- 35 JAK POWSTAŁO KĘPNO
- 40 O POWSTANIU KOPALNI SOLI W KŁODAWIE
- 45 O KOLSKIM ZAMKU
- 51 SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA KOMORNIKI
- 57 O KOSTRO, CO ZAŁOŻYŁ MIASTO (KOSTRZYN)
- 63 O BIAŁEJ DAMIE Z ZAMKU W KÓRNIKU
- 69 KRAJ I ANKA (KRAJENKA)
- 73 TRZY MŁYNY (KROTOSZYN)
- 78 O GŁAZIE ŚW. WOJCIECHA (MIEŚCISKO)
- 83 JAK POWSTAŁ MIĘDZYCHÓD
- 89 O ZŁOTYM MIECZU (PLESZEW)
- 95 JAK PNIEWY ZBUDOWANO
- 100 ZATOPIONE MIASTO PNIEWY
- 104 O POZNAŃSKICH KOZIOŁKACH
- 110 O RUSAŁCE, CO POLOWAŁA NA CHŁOPCÓW (PUSZCZYKOWO)
- 115 O HERBIE RAWICZA
- 120 O NAZWIE MIASTA (ROGOŹNO)
- 124 JEZIORO ŻĄDAJĄCE OFIAR (ROGOŹNO)
- 128 O DREWNIANYM NIEDŹWIEDZIU (SWARZĘDZ)
- 134 O HALSZCE (SZAMOTUŁY)
- 139 O TRZCIANECKIEJ SARENCE
- 144 O MILCZĄCYM DZWONECZKU (TUREK)
- 148 O ZAŁOŻENIU WRONEK
- 152 O TYM JAK ŚW. WAWRZYNIEC ZATRZYMAŁ POŻAR (WRONKI)
- 156 O KLASZTORZE W LIPÓWCE (WRZEŚNIA)
- 161 O POWSTANIU WYSOKIEJ



KSIĄŻĘ MIESZKO I I PEWIEN ŻUBR

Działo się to dawno, dawno temu... bo tysiąc lat to dawno, prawda? Na terenach, gdzie teraz rozwija się miasto Buk, rosła rozległa puszcza. Obszar na zachód od Poznania porastały wielkie bory bukowe. Ciągnęły się od Warty płynącej przez Poznań do terenów, na których dzisiaj leży gmina Buk.

Na dnie lasu niemal nieustannie panował cień. Pozwalało to bezpiecznie chronić się wielu małym oraz większym zwierzętom. Ryjówki, lisy, wydry czuły się tu dobrze. Mieszkanie w buczynie lubiły też sarny i dziki. Dobiegający co chwilę skądś odgłos łamanych gałęzi zapowiadał kroczącego niedźwiedzia. Jednak królem tej buczyny był żubr.

W owych gęstwinach niejedna ważna historycznie rzecz się zdarzyła. To właśnie w okolicach Gniezna Polanie zakładali grody, które z czasem stały się początkiem naszego państwa. To o te ziemie toczono krwawe walki z Niemcami. To tu, można powiedzieć, Polska się zaczęła...

To przecież właśnie tu żył, sprawował rządy, mieszkał i polował Mieszko I, historyczny władca Polan i twórca naszej państwowości. Znamy tego sprawnego polityka, utalentowanego



i charyzmatycznego władcę z podręczników. Synom zostawił państwo co najmniej dwa razy większe niż sam zastał. A dzięki przyjęciu chrztu świętego włączył swoje tereny do kręgu kultury zachodnioeuropejskiej.

A wiecie jaki był ulubiony sport dawnych władców? Oczywiście polowanie! Zręczny dyplomata takie właśnie rozrywki również bardzo lubił.

Pewnego dnia książę postanowił tak:

– Dziś zapolujemy na dużego zwierza! Zawiadam drużynę. Niech się przygotowują – polecił swojemu słudze.

Gdy wieść dotarła do uszu Jaromira, począł się zastanawiać: czy książę pragnie rozrywek, czy może jaką dalszą wyprawę planuje i zapas mięsa mu potrzebny? „Zaiste, pewnie będą to też ćwiczenia bojowe. Dla początkujących wojów takie łowy to świetne przeszkolenie przed prawdziwą potyczką. Tak czy owak, niechybnie szykować się trzeba” – pomyślał Jaromir wiedząc, że jako pierwszy wyruszyć musi.

Wiedzieć musicie, że łowy na sarnę, żubra czy tura różniły się od zwykłego polowania dla futer czy skór. Taka obława to był jakby sprawdzian. Testowano odwagę, wojowniczość i bezwzględności myśliwych.

I zaczęła się naгонka. Jaromir oraz Dalibór pognali przodem. Byli borowymi, to znaczy takimi łowczymi, którzy mieli za zadanie wytropić zwierza i ustalić miejsce polowania. Dopiero na ich znak władca oraz pozostali wyruszali do lasu.

Jechali już kilka godzin i nic! Nawet śladu jelenia.

– Ech, nie wiadomo czy coś z tego dzisiejszego polowania będzie – głośno zastanawiał się Jaromir.

– Widzę go! To żubr! – zakrzyknął Dalibór. – Jest potężny. I jaki majestatyczny! Zwołam jeszcze kilku ludzi, poobalamy drzewa, tworząc przesieki.

Drzewa się wnet poprzewracały, łowczy próbowali zapędzić zwierza w wyznaczone łowisko. Mieszko zbliżył się z resztą wojów, ale żubr okazał się szybszy. Pomimo kolosalnych rozmiarów to potężne zwierzę było bardzo zwinne. Wymknęło się z zasadzki i popędziło pomiędzy drzewami omijając drużynę.

– Dalej, za nim! – krzyknął Mieszko.

Kilkunastu chłopów zawróciło konie i pognało za żubrem! Kurzawę zostawili za sobą okropną. Naprężyli strzały i takiego rumoru nieziemskiego narobili, że żubr zaczął płoszyć się i okropnie złościć. Sprovokowany śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem uciekł dalej, przez las co sił w kopytach.

– Jest mój! – zawołał książę.

Już go prawie dogonił, już ostrze niemal wbił w grzbiet ofiary, ale żubr za wygraną dać nie chciał. Kręcił się, wyrywał, wyl i rzucał się na boki. Strzały go w końcu dosięgły i... padł na ziemię. Kto? No, żubr oczywiście. Jednak księcia Mieszka tak te zmagania wymęczyły, że pod ogromnym bukiem przysiadł.

– To polowanie zupełnie pozbawiło mnie siły. Pozwólcie, że odpocznę tu troszeczkę – oznajmił swoim wojom i zasnął.

Minęła godzina i druga, a książę nadal spał. Drużyna zaczyna się niepokoić, że coś długo władca poleguje.

– Dobromi! idź go obudź – oddelegowali najmłodszego.

Młodzian podszedł do Mieszka i zawołał:

– Panie nasz, zbudź się! Zbudź! Pora nam wracać, bo noc nas tu w puszczy zastanie!

Mieszko nie reaguje. Dobromir woła głośniejsze:

– Paaaanie, zbuuudź się!

Cały czas nic. Podszedł bliżej, dotknął ramienia władcy – nic. W końcu spróbował go lekko potrząsnąć, ale Mieszko osunął się tylko bardziej na ziemię. Przestraszony zawołał wojów:

– Jaromir! Dalibór! Zali chodźcie tu szybko!

Przybiegli, ile sił w nogach, po drodze podśmiechując się z chłopaka:

– Młody pewnie siły nie ma obudzić pana naszego! Ha, ha, ha! – kpili z niego.

Gdy w końcu dotarli i zobaczyli leżące na ziemi ciało księcia, śmiech zniknął z ich twarzy. Sprawdzili tętno, oddech. Przeżegnali się. Jaromir zdjął nakrycie głowy i rzekł:

– Książę nasz i władca... nie żyje! Poległ pan nasz, co polskie państwo w posadach postawił, nas ochrzcił i na nowe drogi wprowadził. Najpotężniejszy z mężów i najdzielniejszy z wojów



niech spoczywa na wieki tu pod tym drzewem. Niech Bóg, w którego uwierzył, zapewni mu spokój i ma go w swej opiece. *Requiem aeternam dona ei Domine, et lux perpetua luceat ei. Requiescat in pace. Amen.*

– *Amen* – zakończyli modlitwę wojowie pierwszego władcy Polski.

I tak, według podania, Mieszko I zmarł pod bukiem. Mówi się, że właśnie w tym miejscu, gdzie wznosił się buk, zaczął rozwijać się gród. Wpierw postawiono chatę, potem drugą i trzecią. Przed 1257 rokiem książę Przemysław I uroczyście uznał Buk za miasto. I choć jeszcze w XV wieku puszcza zajmowała rozległe okoliczne tereny, stopniowo, powoli ustępowała miejsca polom uprawnym. Miasto Buk rozwijało się i piękniało. Na przestrzeni lat podanie o tym historycznym polowaniu wrosło w historię miejsca. Po dziś dzień drzewo bukowe, obok klucza św. Piotra, jest głównym symbolem w herbie miasta. ♦



GNIEZNO

ORLE GNIAZDO

Tu wszystko było pierwsze. Pierwsza stolica Polski, pierwsza metropolia kościelna. Koronowali się tu pierwsi Piastowie. Gniezno stało się stolicą młodego państwa, ośrodkiem rzemieślniczym i handlowym, a także ośrodkiem nowej wiary.

A jaki był początek samego Gniezna? Wicie zapewne. Ale, czy pamiętacie?

Gdzieś w dalekich stronach, być może w okolicy majestatycznego Dunaju, żyło trzech braci. Nazywano ich Lechem, Czechem i Rusem. Każdy z nich posiadał swoje osady, zamieszkałe przez setki osób. Duże stada wszelakiego bydła na rozległych polach również były ich.

Kochali się bardzo, jednak nie zawsze zgoda pomiędzy nimi panowała. Być może dlatego, że każdy zgóła inne prezentował usposobienie. Najstarszy – Rus rzadko zabierał głos, a gdy już to robił, musiał mieć do powiedzenia coś ważnego. Nie zawsze informował braci o tym, co planuje. Dlatego miał opinię zamkniętego w sobie i skrytego. Średni – Czech w żadnym z miejsc długo nie usiadł. Wiecznie coś wymyślał, planował lub projektował. Wszędzie było go pełno, a do tego głowę miał prawdziwie bystrą. Najmłodszy za to – Lech zawsze



do zgody z braćmi dążył. Pogodne, szczerze niebieskie oczy zdawały się mówić, że ten człowiek nie może się gniewać czy złościć, że to byłoby coś sprzecznego z jego naturą. Dobrotliwy i spokojny nie raz stawał się rozjemcą w sporach.

Bracia mądrze zarządzali swymi dobrami. Dobytek rósł, ludności przybywało i w miejscu, gdzie wcześniej spokojnie wszyscy się mieścili, zaczynało robić się ciasno.

Spotkali się pewnego wieczoru i poczęli radzić:

– Moje krowy coraz mniej mleka dają – stwierdził milczący zazwyczaj Rus. – Nie ma ich już gdzie przeganiać, bo wszędy albo twoje Czechu, albo twoje Lechu. Jak dłużej tak będzie, głód nam zacznie w oczy zaglądać. Coś począć trzeba.

– U mnie dziś po skardze osadnicy byli. Plonów coraz mniej zbierają. Boją się, że nie wystarczy by przetrwać zimę – powiedział Czech.

– Wyruszmy tedy wspólnie i nowe poszukajmy dla nas ziemie – zaproponował Lech. – Rozległjsze i żyzniejsze. Pójdźmy tam, gdzie zwierza pod dostatkiem, gdzie ziemia żyzna, a woda rzekami spływa z gór aż do morza.

Spakowali się i wraz ze swymi plemionami opuścili ojcowiznę.

Byli w podróży już od wielu miesięcy. Tereny, nad które dotarli porastały gęste lasy. W czasie marszu musieli przebijać się przez zarośla i grzędzawiska. Drogę torowali toporami. Napotkane rzeki pokonywali w bród. Było ich tak wielu, że gdyś zobaczył pierwszego, ostatni ginął już za horyzontem. Przemieszczali się w ustalonej hierarchii. Na samym przedzie, jeszcze przed pozostałymi, jechały zastępy wojów na koniach. Nosili na sobie skóry dzikich zwierząt, które chroniły ich przed chłodem. Zadaniem konnicy było torować drogę, a w razie niebezpieczeństwa bronić pozostałych. W tym celu każdy jeździec dzierżył przy boku łuk, oszczep, a także okrągłą tarczę, ociągniętą skórą bawoła. Ubrojenia dopełniały krótkie żelazne miecze, zatknięte w pas. Dopiero kilkaset metrów za nimi jechały wozy. Takie zwykle, drewniane, ciągnięte przez woły. Siedziały na nich niewiasty oraz dzieci i starcy. Jednym słowem ci, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Ale to nie wszystko. Pomędzy pasażerami upchany był cały dopytek. Wszystkie sprzęty domowe, które dało się spakować. No i żywność. Nie wiadomo co człowieka w podróży spotka. Lepiej mieć własne zapasy. Tak. Oni

o tym wiedzieli. Za wozami pędzone były stada jucznych koni, krów i owiec. Pochód zamykały zbrojne oddziały pieszych łuczników i oszczepników.

– Długo jeszcze tak będziem wędrować? – zapytywali siebie nawzajem. Odpowiedzi jednak nie znał nikt.

Szli dzień za dniem, niemal rok cały. Przez puchowe zaspy śniegu i wiosenne roztopy. Na przekór wiatrom i deszczom. A teraz nadeszło lato i palące słońce nie okazywało się wcale bardziej łaskawe od siarczystego mrozu. Na czele ogromnej kolumny ludu jechali wodzowie: Lech, Czech i Rus.

Rankiem kolumny przepawiły się przez rzekę, łączącą łańcuch drobnych jezior.

– Odpocznijmy nieco, konie i woły są zmęczone. Ludzie też – sugerował Rus.

– Jeszcze chwilę. Zaraz znajdziemy odpowiednie miejsce – zachęcał go do marszu Czech.

Nagle puszcza przerzedziła się bardziej, między drzewami poczęły przebijać się promienie słońca, docierając aż do dna lasu. Bór skończył się jak ucięty siekierą. Oczom braci ukazała się piękna, rozległa dolina, usiana kilkoma niezbyt dużymi pagórkami, poprzecinanymi przez jeziora i rzeki. Na najwyższym spośród wzgórz widniał potężny, stary dąb. Lechowi aż oczy zaiskrzyły się na widok tej uroczej krainy.

– Widzicie te rzeki?! Te jeziora? – z zachwytem wykrzyknął Lech. – Jak tu pięknie! Tu wody nam nie zabraknie, a na wzgórzach wzniesić można fortyfikacje!

– Faktycznie piękna to okolica – przyznali starsi bracia. – Odpocznijmy chwilę.

– Patrzcie. Orzeł! – zakrzyknął Lech.

– Gdzie? – dopytywali bracia rozglądając się po niebie.

– Tam – wskazał na najbliższe jezioro, z którego wzbił się w górę biały ptak.

W jego szponach szamotała się zdobycz, chyba ryba. Kołował chwilę nad samotnym dębem, po czym osiadł na jego szczycie. Porywczy Rus już myślał o smaku ptaka pieczonego nad ogniem. Już porwał łuk i chciał strzelać. Wtem Lech położył łagodnie dłoń na jego dłoni i rzekł:

– Zaczekaj, mój bracie. Nie zabijaj ptaka. W koronie tego drzewa zapewne ma gniazdo. Wydaje mi się też, że czeka tam na niego kilka piskląt, które właśnie otrzymały obiad. Ten orzeł

jest ojcem swego rodu tak, jak my wodzami naszych plemion. Czy nie uważasz, że to sam bóg Światowid zsyła nam znak?

– He? – wyjęknął zamyślony Rus.

Lech natomiast ciągnął dalej:

– Tu wraz z moim ludem rozbiję namioty. Wokół tamtego dębu wzniosę gród książęcy, a ten oto orzeł biały będzie go strzegł. Jego podobizna od dziś zostanie moim herbem.

Wojowie i starszyzna ucieszyli się, słysząc, że nastał kres ich długiej wędrówki. Pełną pierśią trzykrotnie zakrzyknęli:

– Hurrrrra! Hurrrrra! Hurrrrra!

Tylko Rus zdawał się być nie w sosie.

– Bracie, co cię trapi? – zapytał go Czech.

Tamten zmarszczył swoje krzaczaste brwi i po namyśle odpowiedział:

– Piękna to jest dolina, obfita w wodę i zwierzynę. Drewna też nie brak. Ale zobacz na moich ludzi. Nas jest tak mnogo, jako ziaren piasku w tych jeziorach. Ta ziemia choć żyzna, nie wyżywi wszystkich.

Miał rację. Zwołano na wiec wojów i starszyznę rodów. Uradzili zgodnie, iż Lech ze swym ludem zostanie w tym miejscu. Czech i Rus natomiast pójda razem w dalszą drogę szukać dla swych plemion innych terenów. Nazajutrz, pożegnawszy się, Czech i Rus odjechali.

Tymczasem na rozkaz Lecha w okolicznej puszczy co dzień dudniły topory. Zaprzęgi zwoziły na wzgórze z orlim gniazdem potężne pnie dębowe, strzeliste sosny i twarde buki. Tak się spieszyli, tak starali, że gród książęcy stał, zanim jeszcze jesień zaczęła liście strącać z drzew.

– Od orlego gniazda nazwijmy go Gniezdnem – oznajmił Lech.

Inni uważają, że wódz, pragnąc tam zbudować pierwszy dom, miał powiedzieć – „Zbudujmy gniazdo”! dlatego miejscowość aż do dzisiaj zwie się Gniezno (czyli „budowanie gniazda”).

Wyrosło Lechowe Gniezno na piękne miasto – miasto królów, miasto inicjatyw. Obecnie dumne ze swojej wielowiekowej historii i związanych z nią zabytków. ♦



GOSTYŃ

O GÓRZE ZAMKOWEJ

Znacie dwie góry nieopodal Gostynia? Opowieści o nich najlepiej opowiadają stare mieszkanki tego miasta. Jedna z nich – Maryjanna, chętnie udzielała informacji każdemu, kto mijał jej chatę na zboczu góry:

- Zobacz – zaczynała. – Tu bliżej jest Góra Zamkowa, a tam dalej – Święta Góra. Są jak dwie siostry. Pierwsza przeklęta, druga święta. Jedna budzi dreszcz i grozę, podczas gdy druga nadzieję i miłość. A związane są one ze sobą nierozłącznie.
- Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze mnie na świecie nie było – mówiła dalej Maryjanna.
- Na Górze Zamkowej wznosiło się zameczysko Przedpełków de Wezenborgów, dumnych panów gostyńskich. Dóbr mieli, oooo! Potąd! – przesunęła obrazowo ręką w okolicach czoła.
- Wsie, miasta – wszystko należało do nich. Byli to możni panowie.
- A skąd mieli tyle pieniędzy? – pytali zazwyczaj słuchacze.
- Byli kasztelanami, wojewodami, rycerzami zasłużonymi w bojach. Takie pozycje gwarantowały spore dochody – tłumaczyła kobieta.



– Kiedyś byli dobrzy – zamyśliła się. – Fundowali klasztory, kościoły i przytulki dla biednych.

– A co? Potem już nie byli? – pytali słuchacze.

Wtedy Maryjanna marszczyła brwi i przybierała groźny ton głosu:

– Nastął czas, kiedy robak pychy i okrucieństwa, graniczący z szaleństwem, załagał się w zamczysku na górze podmiejskiej. I siał spustoszenie.

– Niech pani usiądzie – proponowali przechodnie, widząc jak wzbiera w niej gniew i robi się czerwona.

– Kasztelan Jan Gostyński to był pierwszy tyran! Ludność uciskał, mieszczan tropił, dobra kościelne grabił. O, heretyk jeden! – wypowiadając to cała się trzęsła. – A jeszcze gorszy był jego syn, też Jan, który pojął za żonę, jak głosiła fama ludowa, córkę z piekła rodem, Annę Zborowską.

– Wiara? Ha, ha! – śmiała się do rozpuku Anna. – Dla ludu jest dobra. Precz z zacofaną wiarą! Zniszczcie wszystko! – rozkazywała. – Zniszczcie kościoły, świątynie figury, obrazy! U mnie na zamku będzie nowoczesnie!

A ta jej nowoczesność to były orgie rozpustne i bluźniercze. Zlatywały się na nie stada szatanów z różnych stron świata. Chichoty, świsty i wycia rozlegały się po całych nocach. Od wtedy wszyscy zaczęli się bać Góry Zamkowej. Każdy ją omijał z daleka. Ale najgorsze... najgorsze miało dopiero nadejść. Pewnej nocy ludzi pobudziły nieludzkie skowyty. Mieszczanie z przestрахem otwierali okiennice:

– Co to za wrzaski dzikie? – mówili jeden do drugiego.

– Hałas w mieście, jakby trąby piekielne grały! – narzekali wybudzeni ze snu ludzie.

To pan gostyński Jan z Góry Zamkowej jechał na czele pijanej kompanii.

– Hajda! – krzyczał i wskazywał dłonią kierunek, w którym ma podążać korowód. – Na kościół farny! Świątynię zdobyć, ograbić i znieważać!

Już, już dojeżdżali do fary, już rykiem podali sobie hasło do napadu. Wtem stał się dziw... Jak nie błysnęło światło z wnętrza świątyni! Jak nie rozgorzało wszystko jasnością! Organy pełnią swego brzmienia grać poczęły, otwarła się brama kościoła szeroko, a w niej stanął... upiór.

– To duch! Duch w całunie grobowym! – krzyczała przyjezdna zgraja.

– Ducha się boicie, głupcy wy jedni? – zażrzewał ich do walki Jan.

– To nie jest zwykły duch. Janie, to moc święta! – krzyczeli.

Faktycznie, zjawa w lewej ręce dzierżyła krucyfiks, a w prawej błyskający miecz.

– On nie jest sam! Uciekajcie! – nawoływali się kompani rozbójniczego orszaku. – Za marą tłoczy się gromada duchów jemu podobnych! Jest ich cała armia! – przekazywały sobie coraz bardziej przestraszone głosy.

Tylko Jan zachował zimną krew. Ten zatwardziały heretyk nie bał się mocy świętych. Przetarł tylko oczy ze zdziwienia.

– Toż to mój brat rodzony zza grobu wstał – wyrzekł powoli.

– Owszem. To ja, Mikołaj – wyrzekła zjawa. – Na czele wiernych stanąłem, aby dobra święte obronić. Zmień swoje postępowanie bracie – namawiał.

Im dalej orszak duchów wysuwał się z kościoła tym większy popłoch zaczynał panować wśród najeźdźców.

– Aaaaa, w nogi! – wrzeszczeli przerażeni.

– Tędy! – wołał jeden.

– Nie, tamtędy! – kto inny.

Porzucali wozy, pędzili w las, potykając się o siebie nawzajem.

– Prawdziwe piekło nawiedziło nas tej nocy – mówili rankiem mieszkańcy Gostynia.

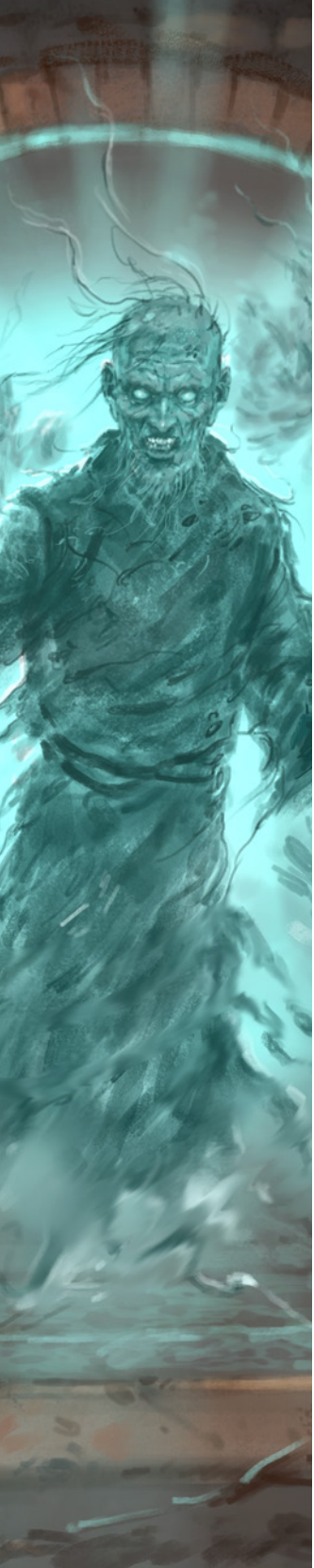
Ale szatan nie dawał za wygraną i coraz to nowe pomysły mieszkańcom Zamkowej Góry podsuwał. Innej nocy powiódł ich na wieżę zamczyska i pokazał im Górę Świętą z kościołem Matki Bożej.

– To nie jest zwykła góra – mawiał lud. – Tam wysoko, Najświętsza Paniienka wiele łask dla swych wiernych wyprosiła, wielu uzdrowionych z kalectwa zostało, a wszyscy umocnieni duchowo stamtąd wracają.

– Na Górę Świętą! – wołał Jan na czele kolejnego pijackiego korowodu.

Nie lepsza była jego małżonka:

– Ha, ha, ha! Wpuśćcie mnie tam tylko. Sama zajmę miejsce tej Świętej Paniienki. Zobaczmy kto do mnie pielgrzymował będzie – naigrywała się Anna.



Podobnie jak ostatnio, ze świstem i wyciem pocwałowali z Góry Zamkowej na Górę Świętą. Anna pierwsza wtargnęła do wnętrza. Furią szatańską gnana, zerwała z ołtarza figurkę Matki Boskiej Bolesnej z Jezusem na łonie i rzuciła swym pachołkom:

– Porąbać ją na sztuki! – rozkazała.

– A masz! A masz! Ja odetnę rękę! A ja głowę! – prześcigali się w bezliotosnej pomysłowości.

Ale co to? Figura ni drgnie. Drewno zdawałoby się, że kruche, a tu nie.

– Pani! – wołają po Annę. – Niech pani przyjdzie. Znęcamy się nad tą głupią figurą, siódme poty wyciskamy, a ona nie chce dać się porąbać!

– Rozniecić przed kościołem wielkie ognisko – poleciła. – Spalić w nim figurę!

I oto nowy dziw uderzył najeźdźców. Zaledwie z ogromnego stosu buchnęły pierwsze płomienie i wzbily się w powietrze pierwsze kłęby dymu, zaczęło w ognisku grzmieć i huczeć, jakby pioruny z otwartego nieba biły w ziemię, a płomyki, jakby ręką niewidzialną rzucane, zaczęły skakać dookoła, gonić, i prażyć.

– Aj! – wrzeszczeli. – Parzy! Palę się! To miejsce jest święte! – wypływali ze swoich ust bluźniercy.

Pouciekali. Podobno długo leczyli się z poparzeń. A figura? Choć z drzewa pospolitego wyrzeźbiona była ostała się, nietknięta płomieniem.

– Ty kukło drewniana! – zawrzeszczała do cna wściekła Anna, widząc nietkniętą Maryję z dzieciątkiem, leżącą na stosie popiołu.

– Ty mną rządzić nie będziesz! Upokorzę cię, zniszczę raz na zawsze! – i cisnęła posąg Świętej Pani do pobliskiej studzienki. – Zasyj ją obornikiem i ziemią! – poleciła towarzyszącej jej służce.

Po tym świętokradztwie jeszcze dziksze na zamku gostyńskim szalały orgie, jeszcze bardziej opętańcze rozlegały się chichoty i wycia. Przera-

zeni mieszkańcy Gostynia z trudem to już wytrzymywali. Aż wreszcie jednego dnia, w samo południe, ciemności nieprzebrane nadciągnęły nad zameczysko. Rozdarło się niebo i rozbrzmiały gromy straszliwe. We wnętrzu góry powstała ogromna wyrwa. W ciągu kilku chwil nagle wszystko ucichło. Znow zajaśniało słońce, ale... zameczyska na górze już nie było.

– To góra pochłonęła ten przeklęty zamek i wszystkich jego mieszkańców – spekulowali mieszkańcy. – Spotkała ich kara boska.

Niektórzy, co wspinali się na jej szczyt, twierdzą, że z wnętrza skał wydobywają się jęki i szlochy, a nad górą unosi się dym. Tymczasem na ziemi gostyńskiej dziwy dzieć się zaczęły. Na szczęście już nie takie straszne...

– Światło o zmierzchu? – wyszeptał pasterz, widząc nad studzienką jaśniejącą lunę.

– Może mi się przewidziało. Przyjdę sprawdzić jutro.

I przychodził tak dzień w dzień, a światło nie znikало. Jaśniało przez całą noc.

– Ludzie, to światło całą noc świeci! – poszedł rozpowiadać. – Jakem podszedł, całe moje bydło przed nim klęczało. Dyć to musi być nie z tego świata!

– Chodźta, odkopmy tę studzienkę – zachęcali się nawzajem ludzie.

I zaczęli kopać. Odwalili piach, przekopali obornik. Aż nagle łopata uderzyła o coś twardego.

– Patrzcie! – wołają. – Coś tu jest!

Jak ogromne było ich zdziwienie, gdy znaleźli znieważoną przez Anną figurę Matki Boskiej Bolesnej.

– Nie do wiary! Ani trochę uszkodzona nie jest! W mokrym leżała, a drewno nietknięte. I kolory żywe jakby dopiero co malowane! – poczęli się zachwycać.

W uroczystej procesji wniesiono figurę cudowną z powrotem do kościoła świętogórskiego. Umieszczono ją w ołtarzu bocznym po lewej stronie ołtarza wielkiego. A na pamiątkę tego zdarzenia wybudowano obok studzienki kapliczkę, która stoi tam do dziś. Taki był początek cudów w dziejach Świętej Góry. Tak też dwie góry, połączone wspólną historią, zapisały się w dziejach Gostynia. ♦



GRODZISK WIELKOPOLSKI

O CZARNEJ DAMIE

W Grodzisku Wielkopolskim, przy ulicy Rakoniewickiej, nieopodal byłego zakładu komunalnego, stał sobie kiedyś most: najpierw drewniany, potem betonowy. Dziś wszyscy już o tym zapomnieli. Ludziska, które przechodząc w pobliżu dowiadują się o tym, dziwią się co niemiara:

– Tam był most? – pytają z niedowierzaniem.

Stoi tam sobie również ławeczka, po której z daleka widać, że czasy największej świetności dawno ma już za sobą. Spotkać na niej można pewnego starszego pana, siwiutkiego, z długą brodą. Odpoczywał on, przesiadując tu dawniej często, a kto do niego się przysiadł, mógł posłuchać opowieści o dziejach okolicznych stron.

– Ano most był – rozpoczął pewnego dnia swą historię. – Miał ważną rolę: odgradzał południową część miasta, zwaną onegdaj Wyczółkowo. A powiem wam więcej. Ten stary most to była pozostałość po dawnej fosie. Od zawsze uznawano go za miejsce w Grodzisku szczególne.



Od kiedy pamiętam opowiadano o nim przedziwne historie, a po sąsiedzku z mostem rozlokował się cmentarz i kościół św. Ducha.

Gdy tak mówił, coraz więcej ciekawskich się gromadziło.

– A opowiedz no jakąś z tych historii – prosili go.

– Słuchajcie więc. To będzie opowieść o miłości, tęsknocie... i o wojnie – rzekł donośnie.

Po czym zapadła cisza.

– Był rok 1848 i zaczęła się Wiosna Ludów – zaczął. – Oj, zacięte wtedy walki w Grodzisku się toczyły! – machnął ręką tak, że czapki z głów poleciały. – Gdy wojska pruskie przełamały barykadę, bito się na ulicach. Trup ścielił się gęsto! Mieszkańcy z wojakami. Wszysey wraz ginęli. W końcu na odsiecz kosynierzy z Buku przybyli.

– Przyszliśmy za późno. Nie tu po nas – mówili między sobą, widząc sytuację.

– Patrzcie! Prusacy zostawili armaty! Bierzmy je! – zakrzyknął jeden.

Ruszyli i jak nie rozległ się ostrzał. Jak nie posypał się grad pocisków!

– Ratować się kto żyw! – wzywali jedni drugich do ewakuacji.

Nie wszystkim się jednak udało. Dwaj byli zbyt blisko wroga, umknąć kuli nie zdołali. Polegli w walce.

Słuchacze ze smutkiem, ale też z wypiekami na twarzy oczekiwali na rozwój opowieści.

– Wiecie – kontynuował starzec. – Wojna trudne dzieje pisze. Jednak znać je warto, aby pamięć o bohaterach zachować i do podobnych tragedii w przyszłości nie dopuścić. Wszysey, którzy w obronie Grodziska polegli, tak jak walczyli ramię w ramię, tak pochowani zostali – jeden obok drugiego. Wspólną mogiłę im urządzono przy kościele św. Ducha. Nad nią krzyż, a potem pomnik stanął. Ile osób w niej spoczęło? Nie wiadomo. Może kilkudziesięciu, a może nawet ponad stu... Mogiła mogiła, ale to dopiero pierwsza część naszej historii – starzec chciał mówić dalej.

– A co tu jeszcze mogło się wydarzyć, przecież zginęli... – słuchacze okazywali rozczerowanie.

– Wiercie mi, mogło. Była jeszcze ona – i wtedy oczy starca zajaśniały.

– Kto, kto? – dopytywały poszczególne głosy.

– Młoda, piękna, zawsze ubrana na czarno. Od tego stroju zaczęto ją nazywać Czarną Damą. Przyjeżdżała powozem na mogiłę swego ukochanego, z którym ślub miała wziąć po zakończeniu walk. Czekwała, lecz on nie wrócił. Tylko list przyszedł, że już nie spotka go na tym świecie. Podobno ze zgryzoty sama niebawem zmarła.

– Smutna historia, proszę pana – powiedział ktoś z tłumu.

– Ano smutna i trochę straszna – przytaknął mężczyzna. – Pomimo, iż każdy wiedział, że umarła, widywano ją nadal, tyle że już tylko nocami. Słyszano rzenie koni i tętent kół, który ustawał zawsze w tym samym miejscu – u wrót cmentarza. Widywano też jej czarną postać snującą się między nagrobkami. Gdy tylko dotarła do mogiły powstańczej – natychmiast zniknęła. Wierzono tu, że jedynym miejscem, w którym ich dusze spotkać się mogą, jest właśnie ta mogiła. Te spotkania trwały jeszcze wiele lat, jeszcze za mojej młodości. Aż do czasów, kiedy wzdłuż ulicy Rakoniewickiej zaczęły wyrastać domy, a cmentarz przy kościele św. Ducha pochłonęło miasto. Nie widywano już czarnego powozu toczącego się przez most. Podobnie było i z damą na cmentarzu. Poczęła pojawiać się rzadko, tylko w określonych okolicznościach. – Przychodzi zawsze chwilę przed tym, kiedy coś straszego dla miasta ma się wydarzyć. Jakby chciała ostrzec mieszkańców przed niebezpieczeństwem – mówił coraz wolniej. – Widziano ją w 1927 roku, w przeddzień pożaru, który to doszczętnie strawił wszystkie drewniane domy przy ulicy Kramarskiej.

Nagle starowina podniósł głos:

– I ja żem ją raz widział. Pamiętam, mimo iż byłem małym chłopcem. Było to w lipcu 1939 roku, dzień przed tym, jak wojska hitlerowskie weszły do Grodziska. Do maszerujących z rejonu Piasków wojsk niemieckich ktoś oddał strzał, podobno właśnie z mostu. Widziałem, że to czarna postać, z pewnością ona! I wiecie co zrobili Niemcy? Przestraszyli się. Nie sądzili, że napotkają jakikolwiek opór i wycofali się pośpiesznie.

– Odwrót! Wrócimy na wozach pancernych. Zaatakujemy drugi raz, w samo południe – nakazał dowódca.

Jak postanowili, tak uczynili. Ciężkie pojazdy słychać było z daleka. Posuwały się ostrożnie, spodziewając się oporu.

– Komendancie – słyhać było. – Ależ tu żywego ducha nie ma, a co dopiero żołnierz! Przed kim myśmy uciekali, co?

Wjechali Niemcy do miasta rozwścieczeni niepotrzebną zwłoką.

– Jak dzieci daliśmy się nabrać! – wołali. – O nie! Na sucho to Polaczkom nie ujedzie!

– Nie ma wojskowych, bierzcie cywili! – padł rozkaz.

I zaczęła się obława. Pięćdziesięciu Boğu ducha winnych ludzi uwięzili.

– Co z nimi miało być? Ano rozstrzelać mieli. Ale, że byli tu dobrzy miejscowi Niemcy, co zawsze z nami w zgodzie żyli, po prośbie poszli. I wychodzili. Dobrą wieść przynieśli, że nikogo nie rozstrzelają, a nawet uwolnić się udało tych biednym umęczonych ludzi, w tym mojego wuja.

– A powiem wam jeszcze coś, jak już tak słuchacie – zagajał staruszek, mając widoczną ochotę opowiadać dalej. – Za Niemca wszyscy tu do św. Ducha chodzili. Gdzie indziej nie wolno było. I wiecie, byli jeszcze tacy, co nawet po 1939 roku na cmentarzu mijali tajemniczą czarną postać.

– A pan widział ją jeszcze? – dopytywali słuchacze.

– Ech, potem to już nie. Raz tylko mi się udało. A teraz... sami widzicie – zasmucił się.

– Ludzie wszędzie się spieszą. Nie chcą zauważać niezwykłych zjawisk ani zastanawiać się nad przeszłością. W zapomnienie odchodzą i historia Czarnej Damy i inne zagadki cmentarza przy kościele św. Ducha...

– A co z Czarną Damą? – zapytała jedna z kobiet.

– Może połączyły się wreszcie dusze kochanków i nie muszą już błądzić między grobami?

Może... Sam nie wiem... – zamyślił się, jak to się zdarza starszym ludziom, opowiadającym o czasach, które pamiętają o wiele lepiej, niż dzień wczorajszy.

Wreszcie rzekł:

– Czarnej Damy i tajemniczego powozu już dawno nikt nie widział. Niektórzy jednak powiadają, że ciemną nocą, gdy leje tak, że strach psa z domu wypuścić, gdy zawierucha jaka, pokazuje się tu ludziom, jakby chciała przypomnieć, że nie nad wszystkim mamy kontrolę... Nigdy nie wiadomo czy i wy jej gdzieś w tym miejscu nie spotkacie. ♦



O DZIEDZICU JAROCIŃSKIM W KAMIEN ZAMIENIONYM

Znajdziecie w Jarocinie głaz – wielki, przypominający postać ludzką. Widzieliście go? A wiecie skąd się wziął? Historia ta zaczyna się na zamku, a zamek ów wznosił się tam, gdzie dziś dworzec kolejowy stoi.

Specyficzny władca rządu na nim sprawował: ani zły, ani dobry, ot, taki sobie. Tylko z wiarą, nie wiadomo czemu, od zawsze był na bakier. Uroczystości kościelnych nie obchodził, figury święte dalekim łukiem omijał, ale gościnności nikt mu nie odmówił. Razu pewnego, gdy z proboszczem sobie gawędzili, duchowny zapytał go wprost:

– A powiedzże mi, w Boga ty wierzysz li czy nie? Trapi mnie to od dawna. Nie jest zły z ciebie człek, ale w świątyni jak żyję tom cię nie widział.

– Ha, ha, ha! Dobrze sobie! – roześmiał się dziedzic. – Chcesz wiedzieć w co wierzę? Wierzę, że przede mną był las i po mnie las zostanie. Wierzę, że w lesie sarny, wilki i lisy.



Wierzę, że na sto kroków trafię ze swojej flinty każdego zwierzaka. Ale z Panem Bogiem tom się jeszcze nie spotkał.

Ech, taki to był jucha, że poza lasem świata dla niego nie było. A łowy lubił, oj lubił bardziej niż wszystko inne na świecie! Świątek, piątek czy niedziela – on zawsze na polowanie ruszał. I łasy był na zwierzynę jak mało kto.

A w tych zamięowaniach towarzysza miał wiernego. We wsi nieopodal, co ją Góra zwa, mieszkał jego dobry druh. Ci dwaj przyjaciele i myśliwi zazwyczaj razem zwierzka goniłi.

Na rozstaju, tam, gdzie rozchodzą się drogi do Borku i Góry codziennie spotkać można było dziedzica.

Kupecy, z towarami do Jarocina jadący, witali się z nim zawsze:

– Dzień dobry! A pan na polowanie znowu?

– A dzień dobry, dzień dobry – odpowiadał. – O tak! Czekam na mojego przyjaciela, który z Góry zaraz przybędzie.

Wszystkim znane było bowiem ich miejsce umówione. Dziedzic z Jarocina, gdy przybył, grał donośnie na rogu myśliwskim, a dziedzic z Góry też na rogu mu odpowiadał. Tak się zrywali na łowy. Dzień w dzień.

Aż nadeszła zima. Zbliżało się już Boże Narodzenie. Siarczasty mróz ściał okolicę, a śnieg przykrył wszystko białą skorupą. Zwierzyna głodna po lesie się snuła, próbując wygrzebać spod śniegu resztki runa. Zimą wiecie, o pożywieniu w lesie trudno. A to nie wróży nic dobrego.

– Panie – przyszedł pewnego dnia gajowy do dziedzica. – W lesie wilki widziałem. I to nie raz, a codziennie je widzę. Watah sześć sztuk, ale harde i waleczne! Wszystkie młode sarny zagryzają!

– Zwierz widać głodny – kiwał głową dziedzic. – Aż patrzeć kiedy pod domy podchodzić będzie. Dobrze, że mówisz. I ją przyjrzeć się sprawie muszę.

Nie minęło czasu wiele jak we wsiach zniknąć zaczęły kury, a nawet świnię i cielęta. Lud skarżyć się zaczął:

– W biały dzień, wprost z podwórka mi gęsi wyniósł! Sam widziałem, dziedzicu!

Wraz z mrozami nadeszła Wigilia. Dziedzic Jarociński – stary kawaler – zazwyczaj wyjeżdżał na ten czas do swoich, ale tego roku było inaczej.

– Nie zaprosili mnie? Mnie? – oburzał się na głos, ale zbyt hardy był, aby dowiedzieć się dlaczego. – Zapomnieli? Czy może w złym zdrowiu są?

Nie dociekał. Machnął w końcu ręką:

– E tam, sam spędzę te Święta i ich strata, bo bawić się zamierzam przednio – w głowie zaświtał mu szatański pomysł. – Wiem! Na wilki zapolować pójdę!

Jak postanowił, tak zrobił: wsiadł na koń, flintę przewiesił przez ramię, wziął ze sobą dwa ogary i pokłusował w stronę lasu.

Towarzyszyła mu cisza, charakterystyczna dla tych podniosłych dni świątecznych, gdy wszyscy ludzie gromadzą się razem w domach. Świadcami jego wyprawy były tylko gwiazdy, błyszczące jak szklane paciorki na sznurze. W tej dostojnej atmosferze minął ostatnie chaty.

Nagle rozwarły się zarośla i huknął głośny śpiew: – Bóg się rodzi, moc truchleje... – to gromada parobczaków w kozuchach, z gwiazdorem na czele skończyła zapewne swój wieczorny obchód.

Rumak zarżał i skoczył. – Prrrrryyy! – próbował uspokoić go dziedzic, aby podobnie jak jego ogary nie puścił się za kolędnikami. Odwrócił się. Widzi jasne światło, bijące z oddali. Kościół jarociński gorzał jasnością wszystkich swoich okien. Rozbrzmiewała donośna muzyka organów. Dzwony wzywały lud, który przez śnieżne zasy spieszył ku świątyni ze wszystkich stron.

– A, to pewnie Pasterka! – pomyślał dziedzic. W sercu go przez chwilę ścisnęło. Zatrzymał się. Przez moment chciał konia zawrócić i do świątyni się udać. Wahał się.

– E tam, wyglupiam się sam przed sobą – machnął pogardliwie ręką. – Pasterka jest dobra dla gminu... – i pogalopował na przełaj ku ciemniejszemu lasowi. Chwilę potem stał już na skraju boru, na rozstaju dróg znajomym. – „Zawołam przyjaciela swego w Górze. On nigdy mnie nie opuścił” – pomyślał.

Już dzierzył w dłoniach róg myśliwski, gdy nagle dwa zielonkawożółte ślepia wylaniają się z gęstwiny. – Aaaaaa! – wyrwało mu się z piersi. Szybko opanował się jednak.

W mgnieniu oka wypadł na niego wilk ogromny. Białe, połyskujące w paszczy kły zacisnęły się mocno. Koń dziedzica zaczął chrapać bojaźliwie i przysiadł na zadzie. Ogary zjeżyły sierść na karkach i skomląc przytuliły się do strzemion swego pana.

Chwycił strzelbę. – A masz, dostaniesz za swoje! – krzyknął. Wycelował prosto w ślepia gorzejące zielonkawożółtym blaskiem. Strzelił z obu luf.

Ale co to? Zwierzę nie padło. Wilcze ślepia nadal uparcie wpatrywały się w niego, a z paszczy słyszeć dał się ludzki głos: – A nie wiesz to, panie, że w noc wigilijną nie wolno zabijać żadnego bożego stworzenia?

– Wigilia? Dzień jak co dzień! – odburknął myśliwy.

– Serca nie masz! – usłyszał od wilka. – Za karę zostaniesz tu po wieczne czasy jako przestroga dla ludzi takich jak ty.

Wilk zniknął. Ciemność stała się jeszcze gęstsza. Dziedzic natomiast poczuł ogarniający go chłód. Ręce zaczęły drętwieć, fuzję upuścił na ziemię. – Wiśta wio! – chciał pognać konia, ale ten stał jak wryty. Trafnie powiedziane – wryty.

Słudzy pobudzili się rankiem.

– Widziałeś pana naszego? – pytał jeden drugiego.

– Ja nie! Ani ja! – kręcili przecząco głowami. Na zamku ni widu go, ni słyhu.

– Chodźmy do lasu – zaproponował klucznik. – Chodzą słuchy, że widziano go tam wieczorem. Odnaleźć dziedzica trzeba.

Wyruszyli w stronę lasu. Gdy tylko dotarli na skraj, zobaczyli strzelbę myśliwską na drodze. – Patrzenie, to jego!

– A ten głaz? Zobaczcie jaki dziwny! – spoglądali zdumieni. Kształtem przypomina człowieka na koniu. Dwa psy widać. Jak nasz dziedzic zupełnie!

– A jużci, to pan nasz być musi!

Co tu się minionej nocy wydarzyło, tajemnicą okryte pozostanie. Kogo spotkał dziedzic i w jaki sposób zamienił się w kamień – wiedzą tylko najstarsze w lesie drzewa. Faktem jest, że głaz pod Jarocinem po dziś dzień stoi, a okoliczni mieszkańcy zgodnie twierdzą, że dawnego dziedzica im przypomina. ♦



JUTROSIN

JAK CI ZATNĘ POD DUPINO, TO CI BĘDZIE JUTRO SINO

Jutrosin w powiecie rawickim. Znacie tę gminę i miasto? Pięknie tu jest! Daleko od dużych ośrodków przemysłowych, środowisko czyste, powietrze świeże, a spokój – niespotykany. Niepozorne na pierwszy rzut oka miasteczko ma przecież duży rynek, otoczony zadbanymi kamieniczkami i ratuszem. Wielowiekowa historia, sięgająca średniowiecza sprawiła, że plac centralny pamięta wiele pokoleń mieszkańców. Pamięta średniowieczną lokację. Widział, jak w połowie XVII wieku do Jutrosina ściągnęli ze Śląska osadnicy wyznania protestanckiego i jak w mieście poczęli osiedlać się Żydzi. Rynek pamięta osoby różnych kultur, które przybywały zachęczone swobodą wyznania, handlu i rzemiosła.

Może pamięta również wydarzenia najdawniejsze, te o powstaniu Jutrosina. Bo skąd się wzięła nazwa Jutrosin? Wiecie? Było to tak...

Rzecz działa się dawno temu. W tej to przeszłości dawnej, na terenie południowej Wielkopolski żyło trzech braci. Pewnego dnia po południu siedzieli sobie na skraju lasu i tak rozmawiali:



- Pomrzemy i pamięć o nas wnet zniknie – mówił najstarszy.
 - Coś trzeba po sobie zostawić potomnym. Ale co by to mogło być? – zastanawiał się średni.
- Po chwili milczenia głos zabrał najmłodszy:
- Jak to co? Zbudujemy miasta!

To dobry pomysł! Podchwycili starsi bracia. I poczęli obmyślać szczegóły planowanego przedsięwzięcia. A że rodzeństwo należało do tych, którzy jak mówią, tak czynią, po jakimś czasie pojawiły się trzy miasteczka. Z początku były niewielkie, ale bracia nimi dobrze zarządzali. Rozwijały się więc, a organizowane w nich targi przyciągały zarówno okolicznych rolników, jak i rzemieślników oraz kupców z dalekich stron. Bardzo radowało to założycieli. Był tylko jeden problem. Wszystkie trzy miasta były bezimienne. Żaden z braci nie miał pomysłu, jak je nazwać.

Długo się głowili, długo dyskutowali, ale żadna z propozycji, która przychodziła do głowy któremuś z nich, nie zyskała aprobaty pozostałych. Dumali tak całymi miesiącami. W końcu ludzie, na własną rękę poczęli nazwy wymyślać. A ilu było mieszkańców, tyle nazw. Jeden mówił Bydlin, drugi Równin, jeszcze kto inny Rybin. To tylko kilka przykładów. Ale jakim cudem ktokolwiek przyjezdny, mógł się rozeznac, o które z nich chodzi? Sprawiało to niemałe zamieszanie.

Czas mijał, a miejscowości się rozwijały. Nie można było w nieskończoność odwlekać nadania im nazwy. Najstarszy brat wpadł wreszcie na pewien pomysł i rzekł:

- Posłuchajcie proszę. Nie mam co prawda pojęcia, jak nasze osady nazwać, lecz wiem kto pomóc nam może – Pustelnik Szymon!

Mieszkał on w samotni, oddalonej o trzy godziny drogi. Wielu okolicznych do niego po radę się udawało, niektórzy nawet z daleka przybywali. Nikogo nie odsyłał z kwitkiem, a każdego obdarzał dobrą radą i modlitwą. Nie raz i cuda za jego wstawiennictwem się zdarzały.

Średni brat uderzył się dłonią w głowę:

- Dlaczego wcześniej do niego nie pojechaliśmy?! Wyruszmy natychmiast! Jeśli się pospieszymy, zdążymy wrócić przed zmrokiem.

Zaprzęgli zatem konia i pojechali. Tak się złożyło, że droga do Szymona przebiegała przez miejscową rzeczkę, nad którą nie było jeszcze mostu, a jedynie bród. Dotarłszy nad rzekę, stanęli zdumieni. Przeprawa wyglądała jakoś inaczej niż zawsze. Ubita ziemia schowała się w zwałach błotnistej mazi.

- Patrzajcie! Czyż nie suchą stopą zawsze żeśmy tędy przechodzili? – zapytał pozostałych najmłodszy.

- Zaiste! – potwierdził średni.

- Oj, strachliwi wy jesteście jak baby! – zelżył ich najstarszy. – Toć deszcze ostatnio padały i do tego wozy na targ jechały. To dlatego ziemia jak przeorana wygląda. Nie zatrzymujmy się! Wio! – uderzył konia batem kilka razy.

Przestraszone zwierzę ruszyło co sił przed siebie. Ale kilku metrów nie uszło i w jednej chwili wóz znalazł się w samym środku rzeki. Zarył się w mule po same osie. Najstarszy z braci, widząc to, przestraszył się nie na żarty. Począł jeszcze intensywniej zacinać konia batem.

- Wio, szkapo jedna! Wio! – wołał.

Ale konia jakby zamurowało. Stał nadal pośrodku brodu i tylko parskał. Biedny zwierzę przężył się z całych sił. Napinał wszystkie mięśnie, ale zaprzęgu ruszyć nie zdołał.

W końcu porządnie już zdenerwowany najstarszy brat zawołał:

- Wio! Ruszaj kobyolino, jak ci zatnę pod dupino, to ci będzie jutro sino!

Nie wiadomo, czy to zawołanie miało większą moc, czy koń się bardziej postarał, ale wóz ruszył. O, wielka była ulga i radość z tego faktu. Okazało się, że ta nietypowa przygoda przyczyniła się również do rozwiązania, trapiącego braci frasunku.

- Ha, ha, ha! Ale ci się to powiedzenie udało! – roześmiało się młodsze rodzeństwo.

- Myślę, że już nie potrzebujemy rady pustelnika – dodał najstarszy. – Niech na pamiątkę tego zdarzenia nasze miasta otrzymają nazwy: Kobylin, Dupin (przemianowany w okresie międzywojennym na Dubin) i Jutrosin. Co wy na to?

- Niech tak będzie! – przytaknęli jednogłośnie.

Od tamtej pory trzy miasta nie są już bezimienne. Nie ma również problemu z tym, że każdy je po swojemu określa. Wymyślone nazwy przyjęły się natychmiast. I tak już pozostało do dzisiaj...



Jutrosin nadal rozwijał się i piękniał coraz bardziej. Dorobił się wspaniałych świątyń oraz witraży Józefa Mehoffera w kościele parafialnym pw. św. Elżbiety. Ich wysublimowanej kolorystyki nie odda żaden opis. Nadal jest tu spokojnie i przyjaźnie, a kontaktu z naturą nie trzeba daleko szukać. Wystarczy szlakiem pieszym udać się nad sztuczny zbiornik na Orli i Rdęcy. Znajdziemy w nim dwa miliardy litrów wody, zmagazynowanej dla rolnictwa, masę ryb, ptaków oraz malownicze widoki.

Ale wracając do naszej opowieści...

Ludzi słabej wiary znajdziecie wszędzie. I w Jutrosinie jest kilku niedowiarków. Niektórzy uważają na przykład, że mieszkał tu ród niejakich Jutrosińskich i to od nich miasto nazwę zaczerpnęło. Inni twierdzą, że pochodzi od imienia Jutrosza lub Jutrocha, który był prawdopodobnie pierwszym właścicielem osady. A jeszcze inni, pilnie zgłębiający dawne słownictwo, wyszukali w historycznych dokumentach z XIII wieku nazwy takie jak: Iutrossin, Utroszyna, de Vtrossino, Iutroszino, Jutroszino. Całkiem prawdopodobne, że w dawnych wiekach tak właśnie nazwę Jutrosin wymawiano. ♦



JAK POWSTAŁO KĘPNO

Ziemia Kępińska fascynowała ludzi od zawsze. Musiało być na niej coś, co przyciągało jak magnes. Może zasoby wody obfitujące w ryby? Może lasy pełne zwierzyny? Albo jedno i drugie? W każdym razie, pierwsi osadnicy zawitali tu 14 tysięcy lat przed naszą erą. I, co rzadko się zdarza, już zostali.

Ale teraz nie będziemy się cofać w czasie aż tak daleko. Historia, którą chcę wam opowiedzieć zdarzyła się około tysiąc lat temu. Ta najbardziej na południe wysunięta część Wielkopolski, która jest tuż za granicą ze Śląskiem, była wtedy dość bagnista. Odpowiadały za to rozlewiska rzeki Niesobi. Takie położenie miało wiele zalet, np. było bezpieczne dla mieszkańców. W centrum owych rozlewisk, na wielkiej kępie widniał mały gródek. Było to ot, takie popularne w tamtych czasach ziemno-drewniane obwarowanie. Ale wiedzieć musicie, że był to gródek obronny, stojący na szlaku z Wrocławia do Sieradza. A skoro prowadził tędy trakt handlowy, pojawiali się i kupcy, i rzemieślnicy i inni. Wszyscy musieli tędy przejechać. Dlaczego? Rzeka miała tu spokojny nurt, a dno twarde podłoże.



Umożliwiało to przekroczenie wody – piesze lub kołowe, bez użycia mostu czy łodzi. Niechybnie zmierzał tu więc każdy jeździec, kupiec czy inny konny, chcący dostać się na Zachód lub Wschód. Ruch był więc duży.

Kto już wjechał na wąską groblę, trafiał do potrzasku. Z każdej strony otoczony przez wodę, próżno mógł szukać drogi ucieczki. Spływające ze Wzgórz Ostrzeszowskich strumyki, rozlewały się na bezkresne łąki, zamieniając się w zdradliwą, błotnistą topiel. Niewielu było więc śmiałków, którzy odważyliby się zaatakować tak świetnie ufortyfikowane miejsce. A jednak...

Za czasów Bolesława Śmiałego zapuścił się tu książę czeski Wratysław. Przybył po wojenne łupy. Gdy dotarł do kępy na której stał gródek, gwiazdy świeciły już jasno, a księżyc wysoko stał na niebie.

– Wio! – książę próbował gnać rumaka, ale ten grzął w błotnistej mazi. Zwierzę prężyło się. Odmawiało dalszej drogi. Zdziwiony władca wytrzeszczał oczy.

– A co to?! Zaliż to bagna! Ano sprytni ci ludzie, sprytni! Ha, ha, ha! – zaśmiał się z podziwem. – Ale nie tak, jak my! Damy im radę! Ale za widnego.

– Poczywajcie teraz – rozkazał swoim wojom. – Rozbijmy obóz tam, by nas nie zauważono – wskazał na zarośla. – Zbierzemy siły i zaatakujemy o świcie.

Gdy rankiem słońce leniwie zaczęło wysuwać się zza horyzontu, w obozowisku panowało duże poruszenie. Wratysław szykował się do uderzenia. Myślał, że zaskoczy obrońców grodu. Oni usłyszeli jednak, że ktoś się wieczorem w okolicy kręci. Zwiadowcy wytropili obóz nieprzyjaciela. Już przed świtem cała osada była przygotowana do obrony.

– Wróg spali nasze domy i wymorduje kobiety! Nie dopuścimy go do obwarowań! – postanowił dowodzący obroną Ziemowit. – Schowajmy się w przybrzeżnych trzcinach. Tam na niego poczekamy.

Mgła osiadła na łąkach i ptaki rozpocynały swoje poranne szczebiotanie. Piękną ciszę rozdarł okrzyk: – Wróg nadchodzi!

Zwarto szyki. Przygotowano broń. Ale co to?! Z oddali wyłaniają się coraz to nowe oddziały Czechów, i jeszcze jedne, i kolejne. Ziemowit zaniepokojony oszacował, że mają dziesięć razy więcej wojów aniżeli on.

I wtedy na błękitnym niebie ukazał się czarny ptak. Książę czeski, widząc to radośnie zawołał do swoich oddziałów:

– Patrzcie! Czarny orzeł na niebie! To symbol Henryka IV, władcy niemieckiego i naszego zwierzchnika! Niebiosa dają nam znak! Zwycięzimy! Jeszcze nie wiedział, że niestety nie będzie to jego szczęśliwy dzień. Kiedy orzeł nadleciał nad obóz Polaków, zmartwiony Ziemo-wit spojrzął na swoje oddziały.

– To zły znak! – oznajmił. – Nie będzie to łatwa potyczka, oj nie będzie. Może jednak poddać się powinniśmy?

– Żadnej kapitulacji nie będzie! – uparł się młody kusznik Tomisław. – Toć to tylko ptak. Ot, teraz jest, a za chwilę go nie ma. Ochrczeni jesteście to w Boga wierzcie, a nie w przesady!

Szybkim ruchem chwycił kuszę. Napiął cięciwę i strzała poszybowała w kierunku złowróbnego ptaka. Porywczy i niezaprawiony w strzelaniu kusznik trafił orła tylko w... ogon, ale to wystarczyło. Czarne pióra posypały się na głowy wojów, orzeł stracił równowagę i czmychnął do lasu. Morale walczących podniosło się.

– Tomisławie, przepłoszyłeś go! Skoro uciekł orzeł, to i z najeźdźcą będzie podobnie! – wołali koledzy.

Przez wszystkie szeregi podniósł się okrzyk: – Do boju!!!

I gnani nową odwagą, ruszyli szturmem na Czechów. Polacy wbili się klinem w oddziały Wratysława. Rozdzielili je, a wojowników wpędzali w bagna, z których tamci nie mogli się wydostać. Konie przewracały się w błocie, a jeźdźcy na własnych nogach próbowali w panice uciekać z grząskiej pułapki. Widząc to, czeski książę rozkazał:

– Niech się ratuje, kto może! Odwrót!

Niestety, jedynie on sam i niewielka część oddziału uszła z życiem. Cóż powiedzieć... Złota chcieli, a w topieli wodnej poginęli. Czechów chciwość zgubiła, obrońców Kępna – wiara ocaliła.

Gdy wieść o całym zdarzeniu dotarła do króla Polski, osobiście nobilitował młodego kusznika. Nadał mu herb Niesobia (od nazwy rzeki), na którym zobaczyć można białą strzałę z czarnym orlim ogonem. Nazwisko otrzymał zaś od rosnących w okolicy wierzb – Wierzbięta.

Lata mijały. Ludzie, czując się bezpiecznie w cieniu strażnicy, zaczęli osiedlać się na kępach i łączyć je groblami. Powoli powstawało Kępno.

Wiecie zapewne, że z biegiem czasu kształt ziem Polski się zmieniał, zmieniali się władcy i układy, a co za tym idzie, poszczególne miasta to zyskiwały, to traciły na swym znaczeniu. Naturalna kolej rzeczy. Było tak i z Kępnem. Straciło ono prawa miejskie na prawie 300 lat. Kiedy ponownie je odzyskało, nikt już nie pamiętał o starym herbie grodu. Miasto poczęło używać pieczęci z łabędziem – ptakiem królewskim stojącym na kępie trawy.

A skąd się wziął ów łabędź? Otóż, było to w skrócie tak.

Kiedy w 1138 roku Bolesław Krzywousty podzielił kraj pomiędzy synów, zwierzchnikiem wszystkich został Władysław, władający dzielnicą śląską. W sprawowaniu rządów pomagał mu rycerz Piotr Włostowiec, który w imieniu księcia sądził sprawiedliwie oraz dzielnie bronił granic państwa. W nagrodę za oddaną i lojalną służbę Piotr miał wybrać sobie ziemię. Kiedy dotarł nad granice Śląska i Wielkopolski, urzekło go miejsce, w którym zobaczył łabędzie siedzące na kępie. Tam wznosił swoją osadę. Dziś ten pełen spokoju i powagi ptak jest głównym elementem herbu Kępna.

A który z ptaków naprawdę przyczynił się do rozwoju pięknego miasta? Czarny orzeł czy łabędź? Tego nikt już dziś nie wie.

Mając na uwadze długie dzieje Kępna, wydaje się możliwe, że obie historie mogły być prawdziwe. Gród kępiński miał przecież dwie fazy istnienia. W okresie średniowiecza, między bagnistymi rozlewiskami Samicy (rzeki Niesób) faktycznie ulokowane było grodzisko, po którym pozostał tzw. Kopiec. Kępno spełniało rolę grodu książęcego, było dobrami królewskimi oraz strażnicą nadgraniczną. Potem to właśnie do Kępna ze Śląska przybywali rzemieślnicy, uciekający przed wojnami.

A dziś szczyt się między innymi jednym z największych rynków w Polsce, dwupoziomym dworcem, przedsiębiorczością mieszkańców, bardzo bogatą historią i oczywiście legendą. ♦



O POWSTANIU KOPALNI SOLI W KŁODAWIE

Byleś już w Kłodawie? Jeśli nie, to na pewno używasz tamtejszą sól. Jest w twojej zupie, solisz nią mięso i dodajesz do sałatek. Piękna! Biała lub różowa – prawdziwy unikat!

Wyobraź sobie, że obszar miejscowości z kłoda w nazwie, w czasach Piastów porastały gęste lasy. Królowie chętnie przybywali tu na polowania. Wyraz „kłoda” oznaczał legowisko zwierziny leśnej, które zawalano drzewem, by zwierz nie uciekł. W ten sposób wyznaczano obszar polowania. Królowie musieli bardzo to miejsce lubić, skoro już w 1085 roku książę Władysław Herman nakazał zbudować w Kłodawie kościół.

Przez setki lat nikt nawet nie przeczuwał, że kiedyś miasto słynąć będzie z największej kopalni soli w Polsce, w której wydobywana będzie najczystsza sól kamienna na świecie. To fascynujące miejsce, o jeszcze bardziej fascynującej legendzie. Posłuchaj.

Lastek, bo tak na niego wołali, był zwykłym młodzieńcem. A może trochę niezwykłym, bo nigdy nie narzekał na swój los. Uprawiał sobie swoją ziemię z pokorą. I mimo że praca w polu bywała ciężka, a przeciwności losu nie brakowało, on nigdy się nie skarżył.



Nawet przeciwnie, dziękował za wszystko, co go spotykało. Dla innych dobry i życzliwy. Żył dawno, dawno temu w miejscu, gdzie Wielkopolska łączy się z Kujawami, a dziś rozciąga się Kłodawa.

– O, jak bardzo jestem spragniony – uświadomił sobie, gdy w czasie pracy na roli zbliżył się do przepływającej nieopodal rzeki.

Pochylił się, by zaczerpnąć wody. Ale co to?! Chlupot. Bulgot. Woda jakby sama zaczyna bużować. Słysząc głos. Lastek staje zdębiały. Nie wie, czy wierzyć temu co się dzieje. Oczy przeciera, ale najwidoczniej nie śni. Z głębin dobywa się głos. Ledwo słyszalny, przemawia do niego coraz wyraźniej:

– To ja – Wodnik, władca rzeki. – Drogi Lastku, obserwuje cię od dawna. Dobry z ciebie człowiek. Nigdy na swój los nie narzekasz, a jeszcze dziękujesz za wszystko, co ci on zsyła. Nie widziałem też nigdy, abyś dla kogo był grubiański czy opryskliwy. Za twoją dobroć chciałbym cię sownie wynagrodzić.

– Dziękuję – odpowiedział Lastek. – Niczego mi nie brak.

– Mój drogi – kontynuował Wodnik. – Podaruję ci niezwykłą moc, której nie ma żaden z ludzi. Wielu jej pragnęło i wielu szukało, ale nikt dotąd nie osiągnął.

Zaskoczony Lastek słuchał coraz uważniej.

– Otóż – ciągnął król głębin. – Czas stanie dla ciebie w miejscu. Znaczy to, że nie doświadczysz ani chorób, ani starości. Będziesz żył długo i szczęśliwie.

Lastek swoim zwyczajem podziękował za kolejny dar losu i jak gdyby nigdy nie wrócił do pracy na polu.

Nie minęło wiele czasu, a jego życie się zmieniło. Pojawiła się piękna, jasnowłosa i dobra dziewczyna, która od razu skradła serce chłopca. Mówiono na nią Sala. Zaczęli się spotykać pod jaworami i gruszami. Po pracy, przed pracą, w niedziele i święta. Lastek poza swoją Salą świata nie widział. Nie było szczęśliwszego od niego, gdy zgodziła się zostać jego żoną.

Siedział pewnego dnia zadowolony przed chatą i jakby grom go nagle uderzył. Zmarkotniał, a że nie umiał narzekać, cały zbladł i momentalnie posiwił. Małżonka podeszła doń zatroskana:

– Co się stało? Widzę przecie, że coś cię trapi.

– Ano, widzisz moja najdroższa... – i opowiedział jej historię z darem od wodnika.

– I co ja teraz pocznę? Nie chcę być młody, jeśli ty masz się zestarzeć. Jaka przyszłość może nas wówczas czekać? – tłumaczył żonie zmartwiony Lastek.

Nie mogąc poradzić nic więcej, Sala przytuliła go i zaproponowała:

– Udajmy się jeszcze raz nad rzekę, w to samo miejsce, w którym przed laty spotkałeś Wodnika. Może będzie dla ciebie jeszcze raz łaskawy i zaradzi naszemu zmartwieniu.

I poszli. Gdy rozpoznał dawne miejsce, stanęli na brzegu i Lastek gromko zawołał w toń rzeki. Po chwili woda się zakotłowała i usłyszał głos dobywający się z głębin.

– Witaj Lastku. Widzę, że znów do mnie przybywasz. Powiedz co cię sprowadza?

– Witaj Wodniku. Wiesz, że zawsze jestem wdzięczny losowi za wszystko co mi zsyła i za wszystko ko dziękuję. Nigdy już nie będę nic od ciebie chciał. Jednak ten jeden raz ośmielam się...

– Proś o co zechcesz – ośmielił go władca wód.

– Spójrz, oto stoi tu obok mnie Sala, małżonka moja umiłowana. Spraw proszę abyśmy razem mogli cieszyć się zdrowiem i długim życiem.

– Dobrze, niech będzie jak zechcesz – odpowiedział Wodnik i zniknął w rzecznych odmętach.

Od tamtego momentu upływ czasu również dla Sali przestał być odczuwalny. Mijały lata, a ona cały czas była świeża, piękna, jak w dniu ślubu. Oboje z Lastkiem nie chorowali, nie przybywało im zmarszczek. Mimo iż ciężko pracowali, nie narzekali na brak sił.

W końcu jednak ludzie zaczęli gadać:

– Toć to po ludzku niemożliwe! My żeśmy się postarzel, a Sala ani joty. Toć ona wiecznie młoda jest. Z pewnością z diabłem są w konszachtach. O, chyba musimy donieść komu trzeba, aby się lepiej sprawie przypatrzył – knuto we wsi.

Te okropne plotki dotarły w końcu do Lastka. Z początku uwierzyć nie mógł. Przecież wszyscy byli dla nich tacy mili. No, ale że z ludzką zawiścią nie ma co zadzierać, postanowił działać.

– Skąd ja mogłem wiedzieć, że dar Wodnika przeciwko nam się obróci. Ludzie do okropnych rzeczy są zdolni. Gotowi są pojmać nas i spalić na stosie. Kochanie, ukryjmy się w jaskini, głęboko pod ziemią – poprosił swoją Salę.

– Chodźmy więc, mężu.

Urządzili sobie pod ziemią lokum, w którym żyli jak pustelnicy. Nie wychodzili na zewnątrz. Nie oglądali słońca ani ludzi. Początkowo takie życie nawet ich bawiło, ale czas mijał, a codzienność stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Widząc zmartwioną Salę, Lastek próbował ją pocieszać:

– Tu jesteśmy bezpieczni. Zobacz, żyjemy jak królowie. Wszystko to, co pod ziemią jest nasze. Nikt, na całym świecie nie ma takiego świętego spokoju jak my tutaj.

Sala próbowała uśmiechać się przez łzy, ale zawsze wymykały się jej te same słowa:

– Wiem, wiem. Jesteśmy królami podziemia, ale co z tego? Nie jestem kretem, abym umiała żyć pod ziemią. Tu jest wilgotno. Brakuje mi słońca. Zapomniałam już jak to jest czuć na twarzy jego ciepłe promienie. A kwiaty? Już nie pamiętam ich zapachu ani kolorów. Oj, tęsknie też za naszym domem i ogródkiem.

I płakała Sala godzinami. Miesiącami. Latami. Łzy spływały po jej policzkach nieustającą strugą. Było ich tak wiele, że najpierw utworzyły w jaskini kałużę, potem jezioro, które było coraz większe i większe. A, że łzy ludzkie są słone, z biegiem czasu woda wyparowała tworząc bogate złoża soli.

Wiele łąz musiała wypłakać, skoro w Kłodawie odkryto największe i najgłębsze złoża soli kamiennych w Polsce. I kto wie, może cały czas gdzieś pod ziemią żyje ta niezwykła para dobrych ludzi? W Kopalni, poza solą białą, górnicy natrafiają na unikalną w skali światowej sól różową. Niekiedy znajdują też niezwykle rzadkie niebieskie kryształy. Mówią wówczas, że to skamieniałe łzy Sali.

Nie wszyscy już dzisiaj wierzą w tą historię. Ci bardziej wątpiacy uważają, że 250 milionów lat temu teren kopalni zajmowało płytkie, gorące morze. Procesy geologiczne na przestrzeni dziesiątek tysięcy lat sprawiły, że wytworzyły się pokłady soli. Ruchy geologiczne pofałdowały i zalepiły szczeliny, a odkładające się odpady organiczne utworzyły kolejne warstwy ziemi. Złoża soli powstałe dawno temu leżały pod ziemią nietknięte przez wiele, wiele lat. Sama kopalnia w Kłodawie mogłaby być wnuczką lub nawet prawnuczką Wieliczki czy Bochni, gdzie sól wydobywa się od średniowiecza. Tam gigantyczne złoża soli odkryto dopiero w XX wieku. ♦



KOŁO

O KOLSKIM ZAMKU

Działo się to w Kotlinie Kolskiej, nieopodal Konina. Miasto, o którym mowa nazywa się nie inaczej, jak Koło. Już w średniowieczu drogę prowadzącą z Wielkopolski w kierunku Łęczycy zabezpieczał zamek. Tam mieszkała pewna starościanka Zosia, która słynęła z niezdecydowania. Oj, ile utrapienia mieli wszyscy z tą jej przywarą! A zaczynało się już od samego rana.

W czasie śniadania przywoływała służkę:

– Przynieś mi herbatę, proszę.

A kiedy dzbanek stawiano na stole, zapach zaczynał ją drażnić:

– Ech, nie, nie, straciłam ochotę na herbatę. Napiłabym się raczej soku.

Gdy upiła łyk soku, znów zmieniała zdanie.

– Nie, nie. O tej porze to już bym kawę wypić. Zaparzcie proszę, czym prędzej – zanim tacę podano, zdanie zmieniała jeszcze kilkakrotnie: to kompocik, to kakao, to miodu jej się zachciewało.

Sama do końca nie wiedziała co tak naprawdę zadowolić ją może.

– Cztery światy z tą dziedziczką! – narzekała służąca. – Szczęście ma, że ojciec majątny, ale skoro ona taka niezdecydowana, jak męża sobie wybierze? – gdybała.

Nadszedł czas, kiedy przyszło jej stanąć oko w oko z tym właśnie problemem.

O jej rękę ubiegało się wielu kandydatów, ale – jak się zapewne domyślicie – dziewczyna wszystkich odrzucała:

– Nie jestem pewna, czy on jest odpowiedni – marszczyła buźkę.

– Nie wiem, czy ja go lubię – mówiła, gdy przyszedł inny.

Czasem nawet się zastanawiała:

– Może mogłabym go pokochać, ale... w sumie to nie wiem – zawsze kończyło się tak samo.

Wszyscy we dworze naięrywali się z tego jej niezdecydowania. Zazwyczaj kończyło się na pobłażliwym uśmiechu, ale nadszedł dzień, który miał wszystko zmienić...

Miasto, ze względu na swe położenie, nie miało nigdy murów, tylko bramy. Mieszkańcy byli bardzo gościnni, a dokoła przybywało – na dłużej lub krócej – wiele osób. Szlachta wielkopolska urządzała tu swoje walne zjazdy. Korzystali z tego rzemieślnicy i handlarze, których nigdy w mieście nie brakowało. Do zamku przyjechali również dwaj bracia, rycerze: Mariusz i Mateusz. Obaj zasłużyli się w zagranicznych bojach.

– O, jakie piękne macie zbroje – zaczepiali ich miejscowi. – Widać, żeście nietutejsi. Powiedźcie no, czego szukacie w naszej okolicy?

– A wiesz, ja to chcę spokojnie gdzieś osiąść. Jeżdżę, rozglądam się to tu to tam, szukając jakie to miejsce mi w oko wpadnie – tłumaczył Marek.

Starszy brat statecznie patrzył na życie, nie mówiąc nic nikomu, rozglądał się również za tym czy gdzie nie spotka panny pięknej i mądrej, którą mógłby za żonę osiąść.

– Ten tu, to mój młodszy brat – wskazywał na stojącego obok Mariusza. – Chwili w miejscu nie usiedzi. Zabieram go wszędzie ze sobą, co by go na oku mieć – chwalił się Marek.

– Nie raz się w kłopoty wpakował. Gdzie wiatr zawieje, tak leci – kręcił głową starszy brat.



Faktycznie Mariusz miał dar do nawiązywania kontaktów, pierwszy był w tańcach, graniu i śpiewach. Jeszcze się dobrze rozlokować w zamku nie zdążyli, już siedział u karczmarza i opowieści o okolicy słuchał:

– Wiesz co – zaczął z wypiekami na twarzy karczmarz. – Najpiękniejsze co może być w okolicy to nasza Zosia. Choć dziewczę niezdecydowane, to miła jest i urodę ma przeogromną. – Ach, ta biała skóra! Ten jej wdzięk widoczny w każdym gościu! Ta wesołość, uśmiech niczym promienie słońca! – rozpląwał się w zachwytach.

– Muszę ją zobaczyć! – postanowił Mariusz.

Gdy nastawał wieczór stawał więc pod jej balkonem i grał na harmonii.

– Jeśli trafiłem do nieba i ujrzałem anioła, niech już tu zostanę! – wyznał jej, gdy tylko ją zobaczył. Zakochał się bez pamięci. A, że Zosia muzykę lubiła, rozpoczęły się ich potajemne nocne spotkania.

Nie wiedział Mariusz o tym, że i jego starszy brat wiele dobrego o pięknej Zosi słyszał.

– Zasiądź w samo południe w ogrodzie. Tam Zosia na spacerzy chodzi. Spotkasz ją na pewno – doradzali Markowi kupcy.

Wziął zatem książkę, aby wyglądać na mądrego i udał się do ogrodu. Gdy tylko Zosię zobaczył, poczuł, że zaczyna się rozpląwać:

– Łądy dalekie zjechałem, klejnotów widziałem wiele, ale ty pani piękniejsza jesteś niż największe skarby – wyznał jej.

Przepadł w miłości. Zaczęły się ich południowe schadzki w ogrodzie. Bracia, podekscytowani nową znajomością, myślami bujali w obłokach, chodzi po ziemi, ale jakby ciut unosząc się nad nią. W końcu Mariusz nie wytrzymał i postanowił pochwalić się bratu.

– Marku, Marku – zakochałem się. – Spotkałem pannę jakiej próżno w dalekich krajinach szukać! To do niej wieczorami chadzam, do mojego słowika pięknego! Wiesz, chciałbym ją poślubić – wyznał.

– Rad jestem z twego szczęścia. A zdradzisz jak na imię ma twoja wybranka?

– Ale mam szczęście! Zosia zwie się ma najdroższa, na zamku dziedziczka!

W tym momencie Marek poczerwieniał, nabrał powietrza jak balon. Wstał szybkim ruchem i jak nie uderzył pięścią w stół:

– Cooooo ty mi mówisz? Zosia? Jak śmiesz! – ryknął.

Chwycił brata za koszulę, uniósł do góry i wykrzyczał prosto w twarz:

– Ja starszy jestem, ja pierwszeństwo mam do niej! Ty śpisz do południa i nie wiesz, gdzie ja za dnia bywam. A wyobraź sobie, że i ja zakochałem się jak nigdy wcześniej! Ja, który myślałem, że serce mam z kamienia, teraz poczułem prawdziwe uczucie! I wiesz z kim się spotykam? Ano z tą samą Zosią! O nie, nie odbierzesz mi jej!

– Ja ci jej nie odbiorę, niech ona wybierze, którego z nas kocha.

Poszli więc razem zapytać ją, którego z nich poślubi.

– Jaaaaa, jaaaaa... nieeee wiem. Kocham was obu – dodał jej smutny głos.

– Niech los za nas zadecyduje – wpadł na pomysł Mariusz. – Jesteśmy rycerzami, pojedynkujmy się!

– Zgadzam się! Rozwiążmy problem jak na mężów przystało! A więc bracie jutro w południe na dziedzińcu! – oznajmił Marek, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Tej nocy na zamku i w podzamczu nikt nie spał. Powietrze gęstniało od gwaru, wszędzie huczało i trąbiło od plotek:

– Bracia o Zosię będą się pojedynkować! – powtarzali wszyscy.

Nazajutrz wszyscy mieszkańcy ścisnęli się na dziedzińcu niczym śledzie w puszcze. Przyszedł każdy, kto żyw.

– Kogo chronić mam, po czyjej stronie stanąć – rozpaczła całą noc Zosia. – To wszystko przeze mnie. Brat z bratem, z jednej matki, z jednego łona wyszli, a teraz walczyć będą i ja temu winna jestem. Co począć? – pytała sama siebie.

W końcu, nie radząc sobie zupełnie z tak wielką rozterką, uciekła do zamkowej wieży, gdzie płakała tak głośno, że słychać ją było aż na dziedzińcu.

– Walczymy do pierwszej krwi – zaproponował Marek.

– Do pierwszej krwi – zgodził się Mariusz.

Spuścili przyłbice i ruszyli do boju. Bracia oczywiście słyszeli szlochanie ukochanej, ale nawet nie myśleli o przerwaniu życiowej walki. Zaślepieni miłością i zazdrością nie zważali



na nic. Takie zacięcie zwiastowało, że lada moment stanie się... coś strasznego.

– Aaaaa! – rozległ się jednoczesny głos tłumu. Obaj mężczyźni równocześnie padli na ziemię. Ugodzili się śmiertelnie w tej samej chwili.

Ojciec Zosi postawił dwa pomniki:

– Ku przestrodze następnym zapaleńcom je wznoszę – oznajmił ludowi.

Dziś pozostałością posągów są dwa obeliski w formie złamanych kolumn, które znajdziecie w zachodniej części Koła.

A co się stało z Zosią? Wiele nocy jeszcze przepłakała w zamkowej wieży i podobno do końca życia nikogo nie poślubiła. Na zamku wielokrotnie widywano dwie zjawy, które podobno pragnęły prosić Zosię o wybaczenie. Być może, gdy będziecie w okolicy, i wy je spotkacie? ♦



KOMORNIKI

SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA KOMORNIKI

Mało kto wie, że niewielka miejscowość Komorniki, na południe od Poznania, pamięta dzieje Piastów, a ich ponad osiemsetletnia historia skrywa przed nami jeszcze niejedną tajemnicę. W całej Polsce znany jest tutejszy Festiwal Muzyki Organowej, ale czy słyszeliście o biednym komorniku? Nie? To posłuchajcie.

Nie chodzi tu bynajmniej o urzędnika, który z powodu zalegania w opłatach czynszowych może zająć wasze mieszkanie. Nasz komornik był zupełnie inny.

Słowem wyjaśnienia: w dawnej Polsce szlachecko-pańszczyźnianej mieszkańcy wsi dzielili się na kmieci, zagrodników, chałupników i komorników. Prócz tego byli oczywiście młynarze, karczmarze i rzemieślnicy, którzy na wsi mieszkali, ale uprawą roli się nie zajmowali. Kmiecie byli bogatymi gospodarzami, którzy posiadali najczęściej 17 hektarów ziemi uprawnej. Zagrodnicy dysponowali chatą z małym podwórkiem, obórką, a czasami i skrawkiem pola. Chałupnicy nie posiadali żadnego gospodarstwa czy roli, pracowali u kmieci lub w pańskim folwarku, ale przynajmniej mieli własną chałupę z ogródkiem.

Komornicy byli zaś najubożsi. Nie mieli nawet własnego dachu nad głową i mieszkali całymi rodzinami kątem w gospodarstwach bogatych kmieci. Dosłownie „siedzieli na komorze”, czyli wynajmowali jakąś marną izbę. Za to mieszkanie płacili swą pracą albo oddawali część swego niewielkiego zarobku.

Historia wydarzyła się dawno, dawno temu. Na komorze u kmiecia mieszkał biedak z żoną i sześciorgiem dzieci. Za chwilę dopiero świtać miało. Dzieci spały przytulone jedno do drugiego. Ojciec rodziny już ubrany, już na nogach cicho drzwi za sobą zamykał.

„Niech śpią jeszcze dziatki. We śnie głodu nie czują, niech mają choć tę odrobinę szczęścia” – myślał. I ruszał do obory zwierząt doglądać, potem na pole, potem coś naprawił, płot połatał i znów do obory. I tak pracował dla swojego pana cały boży dzień. Od świtu do zmierzchu. Wtedy stawał przed kmieciem, rozliczając się z wykonanej roboty. A że kmieć łasy na grosz był, od dawna żadnej zapłaty nie dostawał. Dorzucał mu tylko coraz to nowe zajęcia.

– Dlaczego tamto bydle jest chore, co? Nie dojrzałeś go dobrze! Jak zdechnie, ty razem z nim w oborze gnić będziesz! – krzyczał kmieć.

Chłop ucziwy, wytłumaczyć sytuację próbował.

– Słomy brakuje panie, dlatego krowa licha. Nie złego żem nie uczynił.

Zawsze kończyło się jednak tak samo.

– Dziś jeść nie dostaniecie! – wykrzyczał kmieć.

Chłop wrócił ze spuszczoną głową do żonki. Serce go ścisnęło, gdy dziatki obskakiwały go wołając:

– Tato, tato! Jesteśmy głodni!

Spuszczał głowę, zaciskał zęby.

– Kraść nie będę. Po prośbie do kmiecia pójde. Będę prosił tak długo, aż się zgodzi – wyszeptał i ruszył do pańskich drzwi pukać.

Padał na kolana i zaczął błagać:

– Panie, choć garsć kaszy pożycz mi proszę, choć garsć mąki. Oddam ci wszystko. Ciężej pracować będę. To nie dla mnie, ale dla dzieci, co by z głodu nie pomarły.



– Nie wstyd ci tak ciągle pożyczać? Oszukać ja się nie dam. U mnie z procentem należności się zwraca. Grzmiał na niego tak, że tamten kuląc się ze strachu, w duchu modlił się co by pan go nie złażał.

– Wiem, wiem – truchlał coraz bardziej.

W końcu pan odsypywał marną garść mąki.

– Masz tu, ale żeby to było ostatni raz!

Nie dawał z dobrego serca. Dzięki tym pożyczkom pretekst miał, by jeszcze bardziej biedaka w pracy ciemnić.

Tamtego dnia, dwójka dzieci komornika zachorowała. Tak osłabły, że z posłań swych wstać nie mogły.

– Aby wyzdrowieć, muszą zjeść coś pożywnego – rozpaczła matka. – Nie mogę ich cały czas żywić zupą z obierków po ziemniakach.

– Obiecałem kmieciowi, że więcej go już o nic prosić nie będę. Ale cóż począć... wyjścia nie ma. – rzekł biedak. Pochylił głowę, westchnął i znów zakolatał do drzwi.

Kmieć, rozjuszony, że ktoś mu śmie spokój zakłócać, warknął jeszcze głośniejszym głosem niż zawsze.

– To znowu tyyyyyy?!
– Moje dzieci, proszę! Pomrą z głodu jak nic nie zjedzą! – upraszał chłop.

– E tam! Pleciesz piąte przez dziesiąte. Dość już mam tego twojego gadania. Dług mi oddaj albo wynoś się z mojej izby ty i cała twoja rodzina. Jutro ma was nie być!

– Kilka dni panie, proszę tylko kilka dni pozwól nam zostać. Dzieci chore... – błagał komornik ze łzami w oczach.

– Masz trzy dni! Jak was po tym czasie zobaczę, zdrowe czy chore – kijem przegonię!

I zatrzasnęły się drzwi z takim hukiem, że cała chałupa się zatrzęsła.

Służący dał mu po cichu garść kaszy i wyszeptał:

– To dla dzieci. Lepiej je szybko wylecz i uchodźcie. Nasz pan słów na wiatr nie rzuca!

– Niech Bóg ci wynagrodzi – podziękował komornik i poszedł do lasu po chrust, aby było na czym strawy nagotować.

Przechodził biedaczysko koło przydrożnej drewnianej figurki Chrystusa, upadł na kolana i zaczął prosić:

– Panie Jezu, co ja mam zrobić?! Gdzie ja się mam z tymi dziećmi podziać? Wygnał nas człek okrutny. Boże, kochany Boże! Aż tu nagle Pan Jezus się odzywa:

– Idź do domu. Przyjdę do ciebie i dopomogę.

Chłop zdębiał, ale uwierzył. Chrust nazbierał i do domu wraca.

– Kochanie, kochanie, nie uwierzysz – woła od progu żona.

– Dziś jużem skory we wszystko uwierzyć – uśmiechnął się smutno komornik.

– Do naszego okna w izbie zastukał brodaty starzec, pewnie żebrak. O strawę prosił. Mówiłam, że szóstka dzieci, głód i widmo wygnania, ale że wyglądał jeszcze gorzej niż my, litość mnie wzięła nad nim. Dałam mu małą miseczkę kaszy. Zjadł łapczywie i odszedł w świat dalej. Ale potem... patrzę... w komorze stoją dwa worki mąki i worek złotych monet! – żona z radości rzuciła mu się na szyję. – Bóg się nad nami ulitował najdroższy!

– O czym ty mówisz, kochana?! – Komornik najpierw z niedowierzaniem dopytywał, a potem z rosnącą radością i wzruszeniem żony słuchał, wycierając łzy, które z oczu płynąć mu zaczęły.

– Zaiste skarbie, dziś Bóg okazał nam swoją cudowną dobroć! Tyle złotych monet! Już nigdy nie będziemy głodni! – podniósł ją w uścisku jak do tańca. Po czym chwycił garść pieniędzy i poszedł do kmięcia dług spłacić.

Gospodarzowi na widok monet oczy o mało z orbit nie wyskoczyły.

– A skąd ty żeś wziął tyle pieniędzy? – dopytuje.

Wysłuchał opowieści o figurze, modlitwie i wizycie starca. Z zazdrości poczerwieniał i z gniewem zawołał:

– To tak? Ja tu się staram, gospodarki pilnuję, haruję, a ty żeś poszedł, poprosił i dostał? Toż to niesprawiedliwe! Ja też pójdę! – zachnął się i już przed świtem przy kapliczce klęczał.

– Tamtemu pomogłeś to i mnie pomóż. Przecie i ja jestem twój. Tamten mało ma, ale i mało robi. A ja się muszę naharować. Dopomóż i mnie! Chrystus i do niego przemówił:

– Idź do domu. Przyjdę do ciebie i dopomogę.



O KOSTRO, CO ZAŁOŻYŁ MIASTO

11 listopada 1251 roku Przemysław I ułokował w Kostrzynie miasto, jedno z pierwszych w Wielkopolsce. Początki tego miejsca z piękną i bogatą historią sięgają średniowiecza, i to tego wczesnego.

Wyobraźcie sobie, że dawno, dawno temu, w czasach które nie zostały udokumentowane, w miejscu, gdzie rozłożył się Kostrzyn, między rzeczkami Cybiną i Męcina, rozciągała się rozległa puszcza.

O lasach tych mówiono w całej okolicy:

– Ile tam saren, jeleni i dzików! – zachwalano.

– I rysia, i łosia nie raz widziałem – mówiono.

Bory ciemne to były i drogę w nich łatwo było zgubić. Kto odważył się zapuszczać w głąb tego lasu, swojej wrodzonej orientacji ufać musiał. Niejeden bowiem udał się na polowanie i już zeń nie wrócił.

Odważny Kostro jednak taki nie był. Często przemierzał szlak z Poznania do Gniezna. W dziewiczej puszczy polował i uganiał się za dzikim zwierzem. Mimo, iż przejeżdżał knieje

Ukontentowany kmięć kazał ucztę wyprawić.

– Dużo tłustego jadła i gorzałki przygotujcie – rozkazał. I knuł pod nosem: – Jak Bóg zobaczy, że tyle mu dałem, na pewno w dwójnasób mi bogactwem odpłaci.

Nie żał mu było kury na rosół i kaczki na mięsiwo, ani kiełbas, ani kapusty ze skwarkami. Gospodyni po kuchni się krzątała, gospodarz kurzył fajkę i gościa wypatrywał. Kołatanie.

– Idzie! – krzyknął i skoczył na równe nogi.

Tymczasem w progu widzi chłopca zmizerniałego.

– Rodzice mi zmarli. Nie mam gdzie się podziać. Może jaki kąs by się tu dla mnie znalazł i kawałek chleba? – prosił mały.

– Poszedł won! Nie ma tu dla ciebie miejsca! Ważniejszego ja gościa czekam. Nie zawracaj mi teraz głowy – kmięć go odpędził i zaczął drzwi przymykać.

– Błagam pana! – mówił ze łzami w oczach chłopiec. – Największe we wsi gospodarstwo pan ma. Będę dobry, będę pracowity.

– Czarny, bierz go! – zawołał na psa, co w sieni leżał.

A ten, podobnie jak jego pan zawzięty, dziecko do krwi w łydkę pogryzł. Skutecznie jednak od chałupy przegonił.

Za oknem już ciemno, a gościa, jak nie było tak nie ma. Strawa wystygła. Uczta nieudana. Baba zapłakana. Wściekły kmięć polazł do figury Chrystusa wyrzuty robić, że Bóg nie przyszedł jak obiecał, worków mąki i złota nie przyniósł. Ale figura przemówiła do kmięcia tymi słowy:

– A byłem u ciebie, a tyś mnie psem poszczuł.

Spojrzał gospodarz i za głowę się złapał. Z łydki drewnianej figury leciała krew. Widać było ślady zębów. I dalej figura prawić zaczęła:

– Pamiętaj, bliźniego szanuj jak siebie samego, nawet biednego komornika, co kątem w twym gospodarstwie siedzi.

I tak biedny, ale uczciwy i pracowity komornik stał się zamożny, a od tamtego wydarzenia wieś nazwę przyjęła Komorniki. Miejscowość pręźnie się rozwijała, siedzibą gminy została.

Dziś bogata jest pracowitością i przedsiębiorczością swych mieszkańców, którzy już komornikami nie są, lecz częściej zaradnymi przedsiębiorcami. ♦

wiele razy i znał je dość dobrze, nigdy nie podróżował po zmierzchu. Nie był tchórzliwy, ale rozsądny.

Tamtego wieczoru długo gonił za pewnym ósmakiem. Zapucił się w tereny, na których wcześniej nie bywał.

– Aj, nawet żem nie zauważył jak się zaczęło ściemniać – powiedział sam do siebie.

– Czym prędzej poszukam schronienia.

I pognał konia pędem przed siebie. Nagle las się rozstał.

– O, a co to za polana, której wcześniej nie widziałem? – zdziwił się, widząc rozległą łąkę z chatą pośrodku. – Czyżby ta puszcza kryła zakamarki, których jeszcze nie poznałem? Ciekawe, co jeszcze mnie tu czeka – mruzczał pod nosem, zbliżając się do chaty.

Zapukał głośno.

– Słucham waćpana? – otworzyła dziewczyna, na widok której Kostro znieruchomiał.

– „Była tak piękna i świeża, jak poranna rosa. A ten głos! Jak najdelikatniejszy słowik” – myślał. Dzielny rycerz stał jak wryty. Choć zawsze bystry i wygadany, tym razem nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

– Mów Pan czego tu szukasz! – usłyszał ponaglenie z ust piękności.

Ostrzejszy ton otrzeźwił go momentalnie. Wyprostował się, naprężył tors i zaczął:

– Przepraszam panienkę – zaczął wyjaśniać. – Polowałem w tych stronach. Goniłem jelenia i zapuściłem się dalej niż zawsze. Ściemniać się zaczęło, więc pomyślałem, że może... – nie zdążył skończyć zdania, gdy dziewczyna przerwała mu:

– Nie gadaj już. Masz tam stodołę i siano. Możesz zostać do rana – powiedziała. – A studnia jest tam – odwróciła się, wskazując ręką. – Wiadro widzisz? Jak pić chcesz, sam zaczerpnąć musisz. Ja służką nie jestem. Chłopu, nawet jeśli rycerz, nosić wody nie będę.

Kostro podziękował i udał się czym prędzej do stodoły, bo czuł, że dopada go zmęczenie.

Oj, zaimponowała mu buńczuczność dziewczyny. „W lasach żyje, twarda być musi kobieta” – rozmyślał na posłaniu. „Ale pewien jestem, że serce ma jak anioł!” – uśmiechnął się do siebie i natychmiast zasnął.

Przespał pierwszy kur. Słońce było już wysoko, gdy poczuł jak ktoś go widłami trąca.



– Wstawaj waćpan! – Do wieczora spać zamierzasz? Przesuń się choć trochę, bo stodołę uprzątnać muszę.

– Nieee..., skądże – powiedział leniwie Kostro, ziewając przy tym, jakby chciał muchę połknąć. – Dawno po prostu tak dobrze nie spałem!

– Jestem Wojtek, parobkuję u leśnika – przedstawił się rozmówca. Panienska kazała podać panu chleba i świeże mleko – uklonił się, postawił dzbanek i zabrał się za przerzucanie siana.

Rycerz wyciągnął rękę na powitanie:

– Ja jestem Kostro. Czekaj no! Czekaj! – zawrócił Wojtka, który już wychodził. Powiedz mi chociaż jak jej na imię i gdzie ją znajdę?

– Jaźna – usłyszał zza wideł.

– A gdzie znaleźć ją?

– Oj, łatwo jej nie znajdziesz! A dziś już na pewno! – zaśmiał się Wojtek. – Wyjechała rano sprawunki załatwiać. A teraz wybac, muszę krowy ogarnąć.

Kostro nie tylko był odważny i rozsądny, ale również pracowity. Za okazaną życzliwość chciał się odwdziżyć. A przy okazji zrobić dobre wrażenie na Jaźnie. Wszystkie wiadra nappełnił wodą, na progu domu zostawił dwa upolowanie zające, bukiet kwiatów i odjechał.

„Nic dziś tu po mnie” – pomyślał. Jeszcze nie ruszył, a już postanowił: – „Wrócę na pewno, wrócę niebawem.” Wskoczył na koń i pojechał.

Wieczorem Jaźna ze starym ojcem wróciła do domu.

– Króliki? Kwiaty? Córca! Ty wiesz coś o tym? – dopytywał starzec.

Jaźna opowiedziała mu jak dzień wcześniej przyjęła na nocleg pewnego rycerza.

– Życzliwy z niego człowiek... no i niczego sobie ta zwierzynka – pokazał na zające.

– Ale kwiaty to chyba nie dla mnie.

Wręczył Jaźnie piękny, pachnący bukiet i zamyslił się: „Stary już jestem, może gdyby on tu wrócił, może...”

Tydzień nie minął, a do drzwi zapukał człowiek w zbroi:

– Tych kilka drobiazgów z Poznania paniencie przywiozłem, w podziękowaniu za przeszłą i przyszłą życzliwość – wręczył pakunek pełen świecidełek i smakołyków. – Jeśli znów mógłbym się przespać w stodole, będę szczęśliwy.

– Przyszła... powiada pan – zaśmiała się Jaźna. – Jak pan tak lubi naszą stodołę, zapraszam – uśmiechnęła się, wskazując mu drogę. – Różni tu ludzie do nas przybywają, ostrożnym być trzeba, powściągliwość moja z tego wynika. Was raczej obawiać się nie musimy, prawda?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił Kostro.

Rycerz zaglądał do chaty coraz częściej, a że ręce miał zwinne, w domu im pomagał. A tu drewna narąbał, a tam dach podreperował. Praca sama paliła mu się w rękach. Wolne chwile spędzał z Jaźną. Zakochali się szybko. Co kilka dni regularnie bywał. Ale pewnego razu nie przyjechał.

– Tatku, czemu go nie ma? Już środa – martwiła się Jaźna.

– O córuś, no nie płacz, nie płacz, do boju go gdzie może posłali, albo chory w gorączce leży – pocieszał ją ojciec, sam mając nadzieję, że to jednak nieprawda i Kostro wróci.

Dni mijały, a jego nie było. Jaźna markotna chodzić zaczęła. Ojciec już w duchu złorzeczył:

– A niech go wilki pożrą, a niech niedźwiedź rozszarpie!

I już miał psy na nim wieszać... Patrzy...

– Jaźna! To chyba Kostro jedzie! – zakrzyknął.

Tym razem Kostro nie był sam. Towarzyszyły mu trzy wozy i kilkoro ludzi. Widząc leśnika i Jaźnę na progu, pocwałował wprost do nich. Pada do stóp kobiety i błaga:

– Wybacz najdroższa. Sprawy życia i śmierci mnie zatrzymały, ale teraz... – zawiesił głos, po czym zwrócił się do ojca:

– Widzisz dobry człowieku te wozy? Majątek swój spieniężyć musiałem: jedno wydzierżawić, inne sprzedać, jeszcze inne na wozy spakować. I zajęło mi to dłużej niż przypuszczałem. O rękę córki proszę! Ona jest moim życiem lub śmiercią – cały swój dobytek przywiozłem. Już nie chcę żyć z dala od niej. Tu z wami, na tej ziemi pragnę zamieszkać. Nie uprzedzałem, bo miała to być niespodzianka. Pozwolenie księcia na budowę domostwa i założenie tu osady zdobyłem.



Ojciec rozradował się:

– Chcesz się Kostro żenić? To się żeni! Rad będę mieć cię za zięcia.

I tak to córka leśnika została żoną dzielnego rycerza Kostro, który wiedziony silną miłością osadę swoją o nazwie Kostrzyn zbudował. Po dziś dzień znajdziecie w Kostrzynie ludzi o rycerskim usposobieniu: dobrych, odważnych i pracowitych. A panny najpiękniejsze w całym województwie, trochę harde i odrobinę pyskate... To z pewnością potomkowie rycerza Kostro i jego urodziwej małżonki Jagny. ♦



KÓRNIK

O BIAŁEJ DAMIE Z ZAMKU W KÓRNIKU

Dzieje zamku w Kórniku zaczęły się w średniowieczu, w połowie XV wieku. W pięknej okolicy, nad jeziorem, ród Górków – jeden z najpotężniejszych w Wielkopolsce – wznosił murowany zamek.

Na wyspę otoczoną fosą dostać się można było tylko przez zwodzony most i spuszczaną, kutą kratę. To położenie docenił nawet sam król Henryk Walezy. Zatrzymał się tu w drodze na koronację do Krakowa. Także Zygmunt III Waza, odwiedzając zamkowe mury, zabrał tu ze sobą żonę i syna – co znaczy, że nie obawiał się o ich bezpieczeństwo.

Z czasem zamek popadł w ruinę. W okolicznych karczmach, przy kuflu piwa różne można było usłyszeć opowieści:

– Tam, w zamku na wyspie, skarb jest ukryty! To wielkie kosztowności Górków! Gromadzili je przez lata! – mówiono.

– Jakim cudem nikt jeszcze tego skarbu nie zabrał? – zachodzili w głowę przyjezdni.

– Idźcie i sami zobaczcie! – radzili im miejscowi. – Pod ruiną znajdziecie przepastne lochy. Ale uważajcie. Te skarby są przeklęte! Mówi się, że klątwa spadnie na każdego, kto spróbuje je zrabować. I pamiętajcie, jak dotąd nikt z tych, którzy wybrali się na poszukiwania skarbu Górków, do domu już nie wrócił!

A jednak od czasu do czasu znajdowało się kilku śmiałków, którzy wyruszyli po złote runo i niestety... ginęli bez wieści. W końcu zabrakło chojraków. A czas mijał.

Sąsiadujący z Kórnikiem Bnin pochwalić się mógł prężnie działającą parafią. Pewnego razu tamtejszego proboszcza olśniła genialna myśl: „Skoro skarbów nie można siłą wydrzeć, to może zdjęć tę klątwę?”

Zawołał organistę:

– Słuchaj no, tu jest napisane, że... – pokazuje mu stare księgi. - „Klątwa może być zdjęta, jeżeli w miejsce, gdzie przeklęty skarb leży, uda się procesja i tam msza święta będzie odprawiona”. – Co o tym myślisz? – pyta.

– Dobrze, zrobimy tak – potaknął niepewnie tamten.

– Zatem, niech kto żyw w niedzielę w południe pod kościołem się stawi! – polecił duchowny.

– No, w końcu rozwiążemy problem klątwy, a część skarbu na remont dzwonnicy przeznaczym – powiedział rezolutny pleban, dumny ze swojego planu.

Trzódka przybyła, jak proboszcz nakazał. Ale żeby chętni byli na wyprawę z mocami nieczystymi? O nie, co to, to na pewno nie! Większość ze strachu ledwo nogami powłóczyła.

– Odwagi bracia! Po powrocie będziemy bogaci! – dodawali sobie nawzajem otuchy i drep-tali za plebanem.

Procesja w końcu dotarła na miejsce. Ksiądz czym prędzej mszę chciał zacząć odprawiać. Zaśgłąda do torby...

– Nieee! Zapomniałem! – krzyczy.

W księżej torbie nie było stuły. A moce nieczyste tylko na to czekały. Niewidzialnymi widłami zaczęły kłuć, gonić i przeganiać uczestników procesji. Strach było patrzeć na to, co się tam działo. Wierni pouciekali do domów. Zaryglowali drzwi i wiele dni jeszcze w strachu żyli. Proboszcz godzinami przesiadywał w kościele, modląc się i rozpamiętując:



– Jak to możliwe? Zapakowałem przecież wszystko! A moi biedni wierni? Cierpią przeze mnie. Te moce nieczyste nastraszyły ich nie na żarty! – szeptał do siebie.

W pewnej chwili jakby nowa moc w niego wstąpiła. Wstał z kolan i woła:

– Co to, to nie! W mojej parafii nie będzie diabeł rządził! Spróbuję raz jeszcze! – postanowił.

I rozpoczął przygotowania do kolejnej wyprawy. Tym razem osobiście swój ekwipunek trzy razy sprawdził. Co prawda liczba uczestników procesji skurczyła się znacznie, ale znalazło się tych kilka gorliwych owieczek, które za swym proboszczem nawet w ogień piekielny pójść są gotowe. Kilku było wprawdzie też takich, których raczej przyszłe bogactwo do odwagi zażrzało.

Dotarli pod zameczysko. Już mają mszę świętą odprawiać. Pleban zawartość torby na ziemię nerwowo wysypuje.

– Mszał! Gdzie jest mszał!?! – krzyczy.

Upadł w rozpacz na ziemię i począł się modlić, aby dobry Bóg pozwolił wiernym z miejsca przeklętego w spokoju się oddalić.

– Uciekajcie! Wszyscy do domów! Szybko! – polecił przybyłym.

Tłum w mgnieniu oka się rozbiegł.

Kilka miesięcy później nastąpiła ostatnia, jak się później okazało, próba.

– Wiernych już więcej narażać nie będę – powiedział proboszcz do wikarego. – Pójdiesz tylko ty i ja. A, że w trzech raźniej nam będzie, zabierzmy jeszcze organistę.

Każdy z nich sprawdził czy spakowali wszystko, co potrzebne. Pewni, że nie brakuje niczego – wyruszyli. A wiecie, jak to jest – diabły różne psoty wyczyniają. Taka ich natura. Ksiądz o gałąź zahaczył. Hostia do konsekracji i ampułka z winem wysunęły się z tobołka. Mszy świętej znów nie odprawili.

Moc diabelska nie została zniszczona. Skarby zapadły się chyba głęboko pod ziemię, a ruiny zameczyska otaczać zaczęła jeszcze gorsza sława. Proboszcz niebawem dni swych dokonał. Nie było komu walczyć z mrocznymi siłami. Włodarze ziem się zmienili. Ród Górków wygasł w XVI wieku. Teraz to Działyńscy sprawowali pieczę nad okolicznymi dobrami i nad zamkiem w Kórniku również.

Pewnego razu zdarzyła się wielka tragedia. Pożar, który wybuchł w mieście, strawił praktycznie wszystkie budynki. Ludzie potracili dobytki całego życia.

– Pomrzemy niechybnie – mówiono.

– Chałupy spalone. Zima zbliżała się wielkimi krokami. Oj, wielkie żniwo śmierć zbierze, wielkie! – rozpaczały kobiety, z lękiem myśląc o dzieciach. Jedyna nadzieja w naszej Hrabinie. – Może ona coś poradzi.

A pani, w której mądrość lud wierzył, była to Teofila Działyńska. O, co to była z kobieta! Istna osiemnastowieczna bizneswoman! Sprawnie zarządzała dużym majątkiem. Do tego wykształcona, odważna i nowoczesna. Wielu się w niej ówczesnych mężczyzn kochało, a i ona od nie zawsze roztropnych miłości nie raz uciekała.

Dotarli do niej lamenty poddanych. Wezwała więc swoich doradców:

– Byłam przejść się po zniszczonym mieście. Serce się kraje na widok nędzy, wywołanej tym pożarem. Ale mam pomysł, jak poddanym dach nad głową zapewnić i podobnym niebezpieczeństwu zapobiec. Powinniśmy zdążyć zanim nadejście zima.

Zaciekawieni nadstawili uszu, ale temu co słyszą wierzyć nie chcą:

– Rozbierzcie ruiny zameczku przy jeziorze. Cegły przekażcie nieodpłatnie mieszkańcom – rozkazała. – Niech odbudują domy i postawią kominy murowane. Może dzięki temu unikniemy dalszych pożarów.

– Ale pani, klątwa! – mówili zatroskani.

– Tych upiorów nie da się przepędzić! – próbowali ją powstrzymać.

– Ja w zabobony nie wierzę – odpowiedziała.

To fakt. Hrabina znana była z tego, że co postanowi, to wykona. Już niedługo wynajęte ekipy stanęły przed zaniedbanym zamkiem. Prace szły sprawnie. Co prawda skarbcza pełnego nieprzebranych okazów nie odnaleziono, ale dzięki uzyskanemu budulcowi odnowiono zniszczone miasto. Zaś upiorów jak nie było widać, tak nie było.

Na rozebraniu starych ruin Hrabina nie poprzestała. Przebudowała zamek w Kórniku. Zamieniła go w barokową rezydencję z pięknym ogrodem. Dbała o drogi, mosty i wiatraki. Na Jeziorze Kórnickim zbudowała tamy. Z jej inicjatywy w Kórniku założono manufakturę

plócienniczą i hodowlę jedwabników. Nie bała się inności i nie wierzyła w zabobony. Do swoich posiadłości sprowadziła protestanckich kolonistów niemieckich, nazywanych olędrami i ufundowała w Bninie luterański zbór. Lata mijały. Wszystko wskazywało na to, że biesy nie dopadną już Hrabiny, która zniszczyła ich siedzibę. Hrabina doczekała swych sędziwych lat i odeszła na drugą stronę bez udziału niewytłumaczalnych zjawisk. Tak myśleli wszyscy. A jednak, widać, pomylili się...

Czas jakiś temu, nikt nie pamięta, kiedy wydarzyło się coś dziwnego. Jedna z mieszkańek zamku nie mogła zasnąć. Szła właśnie korytarzem, chcąc przygotować sobie ciepłe mleko, gdy nagle stanęła jak wryta:

– Duch! – wyrwało się z jej ust, które natychmiast zasłoniła dłonią.

Kilka metrów od niej przeszła dama w białej sukni, której dół podtrzymywała dłonią. Zeszła wprost na taras.

„Ukryje się za zasłoną i zobaczę, co się stanie” – pomyślała kobiecina.

Wybiła północ, gdy do spacerującej po ogrodzie zjawy dołączył rycerz na czarnym koniu. Do świtu krążyli razem po ogrodzie i czegoś szukali. Gdy jutrenka zaczęła pojawiać się na niebie, on odjechał na swym rumaku, a ona... weszła do portretu.

Nazajutrz, oszołomiona tym dziwnym spotkaniem kobieta, wróciła przyjrzeć się postaci z obrazu.

– Teofila Działyńska – wyszeptała. – Jestem pewna, że to ją widziałam.

Wieść o krążącym po zamku duchu lotem błyskawicy rozniosła się po okolicy. Ze względu na ubiór, zaczęto ją nazywać Białą Damą. Kim jest rycerz na czarnym koniu? Może duchem jednego z wielu, za to wiernego, kochanka Hrabiny? Podobno mara krążyć będzie po kórnickim zamku tak długo, aż odnajdzie skarbiec poprzednich właścicieli, ale z tego co ludzie gadają, zapadł się on do samego piekła. To już lepiej dla niej, żeby ona go w Kórniku o północy szukała...

Od tamtej pory, co rusz ktoś widuje Białą Damę. Ale, ale! Nie każdy kto zechce ją zobaczyć, dostępuje tego zaszczytu! Spotkanie z duchem zarezerwowane jest dla wybranych, którymi duch postanowił się opiekować. A kto jest godzien tego zaszczytu? Może tobie się uda? ♦



KRAJENKA

KRAJ I ANKA

Strudzony wojami i długoletnią służbą dla księcia, osiadł rycerz Izydor z żoną Domisławą wśród pól i nieprzebytych lasów nad Głomią. Wraz z kilkorgiem sług zajmował się wypasem bydła i owiec, uprawą zbóż, myślistwem i bartnictwem. Pan Bóg nie dał im syna, lecz tylko jedną córkę, której na chrzcie świętym dano imię Anna.

Anka, bo tak ją nazywano od dziecka, starała się zastąpić rodzicom syna. Nie tylko uczyła się zajęć domowej gospodyni, ale nauczyła się też jazdy konnej i posiadała umiejętność wykonywania wszystkich obowiązków i prac tradycyjnie przydzielanych mężczyznom. Bardzo się to przydawało, bo ojciec coraz częściej niedomagał i trzeba go było zastępować przy różnych obowiązkach kierowania gospodarstwem.

Z czasem Anka wyrosła na dobrą, piękną i pełną wdzięku pannę. Dzięki pracy i zapobiegliwości całej rodzinie żyło się dostatnio i prawie szczęśliwie. Jedynym zmartwieniem spokojnych mieszkańców okolicy nad Głomią i przejeżdżających tamtędy kupców były częste napady zbójców, którzy zagnieździli się w rozległych bagnach i rozlewiskach, gdzie założyli

swoje siedziby. Od osiadłych mieszkańców ściągali nienależne daniny. Kupców zaś łupili i zabijali.

Niespokojne wieści o tych okrucieństwach docierały aż do dalekiej Kruszwicy, będącej siedzibą panującego księcia. Książę postanowił zbadać stan zagrożenia i na ziemi nad Głomią wysłał swojego najstarszego syna, roztropnego i dzielnego Kraja. W przebraniu kupców Kraj wraz z innym młodym rycerzem, konno przedzierali się po bezdrożach, by po kilkunastu dniach znaleźć się w okolicy, gdzie obecnie znajduje się miasteczko Krajenka.

Po nakarmieniu koni rozpalili ognisko, spożyli posiłek i położyli się do snu. Byli tak zmęczeni, że natychmiast zasnęli kamiennym snem strudzonych wędrowców. Nie zauważyli, że są obserwowani przez rozbójników. W brzasku budzącego się dnia zostali napadnięci. Nie mogli już podjąć skutecznej obrony. Tchorzliwi zbójcy potraktowali ich okrutnie, a konie i wiezione juki zrabowali.

W kilka chwil później, w pobliżu miejsca tego zdarzenia przejeżdżała Anka, wioząc pożywienie dla pasterzy, którzy opodal pilnowali stad bydła i owiec. W pewnej chwili koń pod nią stanął, zaczął chrapać i strzyc uszami. Oznaczało to, że w pobliżu znajduje się coś nadzwyczajnego. Mimo pewnej trwoży, Anka ujęła w prawą rękę zawieszony u siodła topór i spięła konia, zmuszając go do ruszenia w miejsce, które wzbudziło niepokój mądrego zwierzęcia.

Za chwilę ujrzała miejsce niecnego napadu. Zeskoczyła z konia i przybliżyła się do leżących. Jeden z nich już nie żył, gdyż miał roztrzaskaną głowę, drugi dawał słabe oznaki życia. Sprawnie zatamowała mu upływającą krew i przewiązała rany. Z wyciętych toporem pędów leszczyny i wierzby sporządziła płozy, wymościła je trawą i tatarakiem, a następnym razem ze sobą sznurem, przywiązała do siodła. Z kolei poranionego rycerza ułożyła na płozach i powoli przyciągnęła do domu.

Przy pomocy domowników, ранnego ostrożnie przeniesiono do izby i złożono na miękkim posłaniu. Przez parę dni wydawało się, że Kraj już nie odzyska przytomności. Tylko matka Anki wiedziała z jakich to ziół robiła napary i po trochu wlewała mu do ust. Kraj wciąż gorączkował i nieprzytomnie majaczył. Wreszcie któregoś dnia otworzył oczy, rozejrzał się po otoczeniu i powtórnie zasnął. Od tego czasu jednak spał spokojnie. Przy następnych przebudzeniach był już karmiony, ale w tak małych ilościach jakby był niemowlęciem.



Z czasem młody organizm zwyciężył. Kraj powoli wracał do zdrowia. Chętnie i coraz więcej jadł. Stałe czuwanie przy zdrowiejącym Kraju, w miarę posiadanego czasu, bardzo chętnie przejmowała Anka.

Mijały miesiące. Między obojgiem młodymi związała się płomienna miłość. Kraj nie wyznał jednak, że jest synem panującego księcia. Po długim czasie, kiedy poczuł się już na siłach, poprosił rycerza Izydora, aby użyczył mu konia i stosowne do podróży szaty. Izydor nie tylko spełnił jego życzenie, ale nadto przydzielił mu do opieki najlepszego sługę z koniem i zbroją. Kraj oświadczył, że najpierw odwiedzi rodzinne strony, a następnie wróci do swoich wybawców.

Długo oczekiwano na powrót Kraja. Nie wracał również wysłany sługa. Zaczęto się niepokoić i snuć przypuszczenia, że znów stało się coś niedobrego. Wreszcie, po prawie dwóch miesiącach oczekiwania, do zagrody rycerza Izydora zbliżył się liczny orszak bogato odzianych i uzbrojonych rycerzy oraz liczne zaprzęgi konne. To sam panujący książę ze swoją rodziną, dworem książęcym i zbrojnym orszakiem przybył, aby podziękować za ocalenie syna i prosić starego rycerza o rękę Anki dla Kraja, który szczególnie jej zawdzięczał uratowanie życia.

Oświadczyły oczywiście przyjęto i wkrótce odbyły się huczne zaślubiny Anki z Krajem. Na wzgórzu, gdzie z czasem powstał zamek, a później kościół św. Anny pobudowano obronny gród. W nim zamieszkała młoda para wraz ze starymi rodzicami Anki. W pobliżu grodu niebawem powstało osiedle, dające początek miastu o charakterze rzemieślniczo-handlowym.

Od Kraja i Anki nazwano je Krajanką, a później Krajenką. Topór, którym przy ratowaniu życia Kraja posłużyła się jedynaczka, dzielna córka starego rycerza, stał się herbem miasta i jest nim do dzisiaj. Rozbójników wytepiono i odtąd przejeżdżające tędy karawany kupców i pracowici, spokojni mieszkańcy czuli się bezpiecznie. Sprzyjało to rozwojowi miasteczka i okolicy. Chętnie osiedlali się tu przybysze z odległych stron. Kraj i Anka żyli długo i szczęśliwie, zapewniając Krajence i okolicy rozkwit, a mieszkańcom upragnione bezpieczeństwo i odpowiednie warunki do spokojnego życia. ♦



KROTOSZYN

TRZY MŁYNY

Działo się to przed wiekami, tam gdzie od niepamiętnych czasów stała wieś o nazwie Krotoszyn Stary. Wokół rosły lasy, dziś zwane Dąbrowami Krotoszyńskimi – jeden z największych kompleksów naturalnych lasów dębowych w Polsce.

W tej wsi żył pewien możny i dzielny rycerz, którego nazywali Krotem. W bitwie pod Grunwaldem odwagi swej dowiódł i męstwo pokazał, za co w zamian odpowiednio dobra otrzymał. Otóż, Krot miał syna, któremu wydzielił część swych rozległych włości.

Jakoś trzeba było ziemie tych dwóch Krotów odróżnić, co by się ludziskom prostym nie myliło, czy chodzi o dobra starszego, czy młodszego. Wymyślono więc, że mówić się będzie: Tam mieszka Krot, a tam Krota syn. Przyjęły się te określenia. A ludzie, jak to ludzie – czasem ktoś niedosłyszy drugiego, inny przekreśli nazwę. Z biegiem lat wyrazy „krot” i „syn” zlały się w jedną nazwę Krotoszyn. I tak zaczęła się historia miasta na Wysoczyźnie Kaliskiej, któremu w 1415 roku prawa miejskie nadał sam Władysław Jagiełło. Z czasem każde miasto dorabia się swoich bohaterów, tajemniczych wydarzeń i niesamowitych miejsc. Krotoszyn również.



Słyszeliście może o tym, że żyła niegdyś w Krotoszynie słynna na całą okolicę zielarka? Nazywano ją imieniem Kunegunda. Mieszkała w niedużym drewnianym domku, szczytem zwróconym do ulicy, jakich jeszcze kilka zachowało się w Krotoszynie do dziś. Utrzymywała się ze zbierania polnych i leśnych ziół. Jej izba cała przesiąknięta była ich zapachem. Powiązane w pęki dziurawce zwisały nad piecem, a na belkach pod sufitem krwawnik, mniszek lekarski, pokrzywa, rumianek, mięta i ostropest. Tyle ich miała, że trudno było rozróżnić. Do tego słoiczki z suszonym oregano, tymiankiem, szalwią... Tak. Jej dom był niezwykły. Z tego wszystkiego, sobie tylko wiadomymi sposobami, sporządzała cudowne mikstury na różne dolegliwości.

Pomocy nikomu nie odmawiała. A gdy do drzwi zapukał biedny i widziała, że od niego to nie ma co liczyć na zapłatę, tak samo jak majątnemu pomagała.

– Nie martwcie się – odpowiadała. – Odwdzięczycie się, kiedy ja potrzebowałam będę waszej w czym pomocy. A teraz pójdźcie do chaty i do zdrowia szybko wracajcie.

Dobra była dla wszystkich. A że na ziołach знаła się znakomicie, toteż sława jej rosła. Coraz więcej osób do jej drzwi pukało. A to o herbatkę, a to po maść przeciw bólowi, a to na niestrawność, na wzdęcia... i tak dalej, i tak dalej. Specyfiki jej okazywały się zadziwiająco skuteczne i ludzie zaczęli darzyć ją podziwem i wdzięcznością. Ale nie wszystkim te zielarskie praktyki się podobały.

Wicie być może, że jeszcze jakiś czas temu, jedną z najbardziej poważanych osób w każdej wsi i każdym miasteczku był lekarz. Felczer, czy kto z dyplomem – nieważne. On decydował o zdrowiu, a często też o życiu i śmierci. Jego diagnozy na równi były traktowane z przykazaniami boskimi. No i za swoje usługi pobierał oczywiście godne tak znamienitej pozycji opłaty. Nie każdego było stać na zawołanie doktora.

Wielu, zwłaszcza tych ubogich jak mysz kościelna, wołało Kunegundę. I dopóki tylko oni w chwilach grozy po zielarkę szli, nie przeszkadzało to medykom. Ale, gdy coraz więcej przyjezdnych przybywało do niej jako do ostatniej instancji w sprawach beznadziejnych, miejscowi lekarze coraz bardziej niechętnym okiem patrzyli na praktyki znachorki.

– Niech no tylko ktoś umrze na skutek zalecanych przez nią ziółek, ludzie szybko się poznają na niej – mówili.

Ale czas mijał. Nikt nie umarł. Pacjenci Kunegundy nadal do zdrowia wracali.

Oj, nie podobało się to, zwłaszcza żonie jednego z lekarzy i tak się koleżance żaliła:

– Och, mój Zbigniew miał pacjentów dużo. Żyło się nam dobrze. Jeszcze niedawno. Jedwab, futra, skóry – wszystko miałam najnowsze, najlepsze! A teraz?! Skandal – pacjenci rezygnują z niego. Mówią, że za drogo, że ich nie stać... To wszystko przez nią. Ta szeptucha jedna! Skąd moc ma? Nie wiadomo. Rogaty pewnie u niej za piecem siedzi!

Zacząła więc owa pani doktorowa szerzyć wieści o rzekomych konszachtach Kunegundy z diabłem. I robiła to na tyle skutecznie, że zaczęto jej wierzyć. Co rusz ktoś wołał za staruszką:

– Wiedźma! Czarownica! Ta, co z diabłem spiskuje!

Ludzie plotki lubią, zwłaszcza w niedużych miejscowościach, i dlatego łatka czarownicy przykleiła się do Kunegundy na długie lata.

W czasie, kiedy działy się te wydarzenia, na niewielkim wzgórku w południowej części miasta, stały obok siebie trzy wiatraki. Meły zboże dla okolicznych chłopów. Drogę prowadzącą do owych wiatraków nazwano ulicą Trzech Młynów.

Zdarzyło się raz, że Kunegunda wracała z lasu z ubieranymi ziołami. Przechodziła właśnie obok wspomnianych trzech młynów. Młynarze nasłuchali się już krążących od dłuższego czasu opowieści o konszachtach zielarki z diabłem. Gdy tylko zobaczyli kobiecinę, poczęli ją lżyć, a jeden nawet poszczuł psem.

– Jędzo uważaj, mój Burek ma na ciebie chrapkę!

Dwaj następni obrzucili kobietę kamieniami i błotem, wołając:

– Włosy masz z gniazda pająka, oczy ze szklanych kulek, wiedźmą jesteś jadem ziejącą, niech się strzeże człowiek wszelek.

Pokorna Kunegunda znosiła te obelgi ze spokojem, ale poczuła uderzenie kamieniem.

– Ajjjj! – krzyknęła z bólu. Miarka się przebrała. Odwróciła się i zawołała:

– Strzeżcie się panowie młynarze! Nie minie miesiąc, a pożar jednego z was pochłonie! Trzech wiatraków nigdy już tu nie będzie! Nigdy!

I stało się, jak zapowiedziała. Pod koniec miesiąca, w niedzielny wieczór nad miastem rozpełtała się potężna burza. W jeden z wiatraków uderzył piorun. Pożar był ogromny. Cały młyn spłonął.

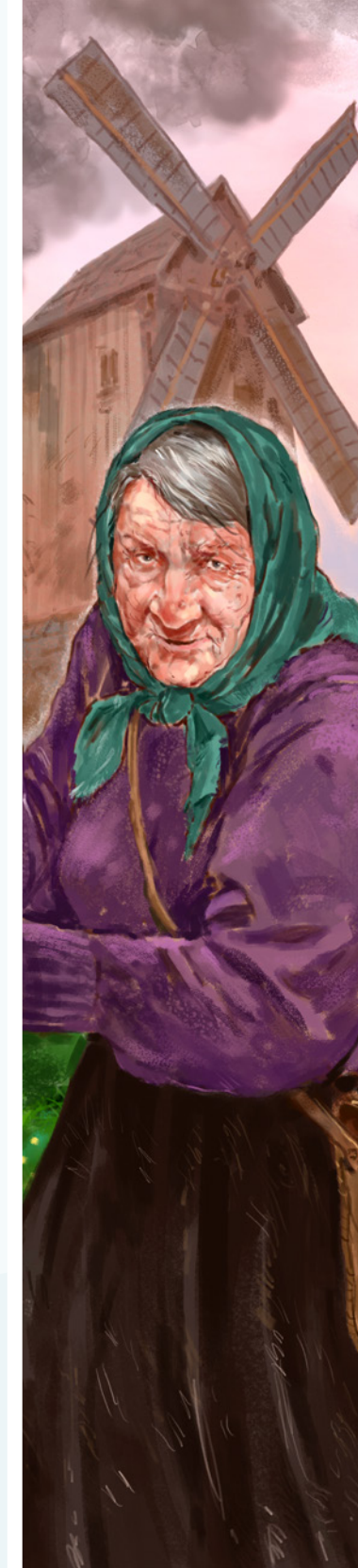
– E, to przypadek – mówiono.

I po jakimś czasie młynarz go odbudował. Nie minął rok, jak płomienie zniszczyły kolejny młyn. Ten również został odbudowany. Niebawem jednak spalił się następny wiatrak. I tak, pożary i odbudowy powtarzały się przez wiele następnych lat, aż ktoś przypomniał sobie prorocze słowa Kunegundy, która spoczywała już wtedy na cmentarzu.

– Ona to przewidziała. To jej odwet za zło, które ludzie jej wyrządzali. Nie odbudowujcie kolejnego spalonego młyna, bo niebawem i tak spłonie.

Od tamtej pory na wzniesieniu stały już tylko dwa wiatraki. Nazwa ulic, choć nieaktualna, utrzymywała się jeszcze długo, bo aż do końca rządów pruskich. Dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1919 roku władze miejskie Krotoszyna zmieniły ją na Młyńską. I ta przetrwała do naszych czasów, choć po młynach wszelki ślad już zagał.

Została tylko ta historia. W Krotoszynie znajdziecie za to wiele innych, pięknych miejsc – chociażby drewniany kościół z XVI wieku, drugi z XVIII wieku, barokową świątynię i inne cenne obiekty. ♦





MIEŚCISKO

O GŁAZIE ŚW. WOJCIECHA

Był sobie głaz. Stary niczym świat. Obserwował życie pierwszych tutejszych osadników. Widział, jak obok niego maszerowały armie różnych wojsk, epok i konfliktów. Tkwi w tym samym miejscu od bardzo dawna, przynajmniej od końca ostatniego zlodowacenia – co znaczy, że liczy sobie 11 tysięcy lat.

Widzieliście tego giganta? Dziś dumnie prezentuje się we wsi Budziejewko, w gminie Mieścisko. Ma imponujące rozmiary. Wyobraźcie sobie! W obwodzie 20 metrów, w średnicy aż cztery metry. W dodatku część, którą widzimy to zaledwie jedna trzecia tego, co kryje się pod ziemią!

Spośród tysięcy ludzkich historii, które widział głaz, jedna jest szczególna. A to dlatego, że dotyczy samego świętego Wojciecha.

Działo się to dawno, dawno temu. Dzień z pozoru wydawał się spokojny, kobiety oporządzały domy i zwierzęta, mężczyźni szykowali się, aby sidła na drobną zwierzynę porozstawiać. Panowało jednak jakieś gorączkowe podekscytowanie. Wszyscy na coś czekali.



– W wieku 27 lat został on biskupem Pragi?! To musi być krześcijanin mądry! – mówiły między sobą kobiety.

– Podobno i tu zawita – przeżegnała się pobożna chłopka. – Kupcy mówili, że już jest u księcia Bolesława. Wędrując z Gniezna do Prusów na pewno przyjdzie głosić Słowo Boże.

A nawracać u nas to ma kogo... Spojrzenia padły w stronę Bratomięły i rozległy się głosy:

– Ona poganica. Jej matka, jej ojciec – wszyscy oni bożki czczą. Mają ich w izbie chyba ze dwadzieścia. Już trzydzieści wiosen minęło od kiedy pan nasz Mieszko krzest przyjął. On przyjął, to my też. On krześcijanin – my również! A oni? Dyć to jakiś pomiot szatański!

Kilka dni ledwie minęło i Wojciech przybył.

– Szczęść wam Boże dobrzy ludzie! W pokoju do was przychodzę. Dobrą nowinę przynoszę – przywitał miejscowych.

Gdy mówić zaczął, coraz więcej osób się zbierało. Stała już przed nim gawiedź całkiem liczna i jak to w tłumie, zaczęły się przepychanki. Ten z przodu chciał stać i kolegę łokciem trącił, tamten popchnął kogoś, bo niski był, a przecie widzieć musiał dobrze. Wojciech nie mógł nie zareagować.

– Moi drodzy, właśnie wasze Panu Bogu miłe nie są. Wskażcie mi proszę miejsce, w którym mógłbym Słowo Boże głosić. Takie, z którego lepiej by mnie było widać i słycać. Widzicie żem jest człowiek postury mizernej, potrzebowałbym jakiegoś wzniesienia – zwrócił się Wojciech do zebranych.

Naraz, ktoś bystry przypomniał sobie o wielkim głazie, co leży nieopodal. Zaprowadzili tam biskupa. Od tej pory stawał na kraju głazu i stamtąd nauczał.

– Macice swoją i tatka szanujcie. Pamiętajcie, dobre dziatki zdobią matki – mówił. A, aby lud prosty lepiej mógł go zrozumieć, przeplatał mowę przysłowiami i przypowieściami:

– Kawałek chleba nie spadnie z nieba, ale go zapracować trzeba. Chleb pracą nabyty, bywa smaczny i syty.

– Kto pracuje za młodu, ten na starość nie ma głodu i kto szanuje niedziele i dni boże, Pan mu dopomoże.

Pozostał Wojciech w tych stronach kilka tygodni. Zawsze po południu, gdy praca była skończona, stawał na głazie, by nauki swe zaczynać. Ludzie chętnie słuchali płomiennych kazań, a z dnia na dzień, coraz więcej przybyszy z okolicy na te nauki ciągnęło.

Bratomięła z mężem w pierwszym rzędzie stała. W niedzielę, gdy chrzest jesusowy przyjąć można było, z całą rodziną przysła. Posażki powyrzucała i od tej pory tylko krzyż jej chałupę zdobi. Takich jak ona, którzy z różnych względów, cały czas pozostali poganami, było wielu. Słowa biskupa miały taką moc, że kruszyły serca nawet najbardziej zatwardziałyłch grzeszników. Wielu też, podobnie jak Bratomięła, nową wiarę za sprawą Wojciecha przyjęło.

Ale w końcu święty odjechał. Żal trochę było. Zaczęto więc do głazu chodzić, aby choć miejsca, na którym Wojciech stał, dotknąć. Zrobił tak i Czesław. Idąc w stronę skały, pomyślał: „Gdy tylko głazu, na którym świętobliwy biskup stał, dotknę, płomień boski z pewnością mnie oświeci i wszystkie troski znikną”. A że zmartwień miał niemało, postanowił cały wleźć na głaz. I co zobaczył?! Dwa zagłębienia w kształcie ludzkich stóp!

Ludzi zwołał. Wszyscy patrzą – dwa odciski na głazie widnieją.

– To cud! – wołał ktoś jeden.

– Cud zaiste! – powtarzał następny.

– Bóg pokazał, że prawdziwie nas miłuje! – cieszył się kto inny.

Jak się domyślacie, od czasu tego zdumiewającego odkrycia, pielgrzymki do głazu, jeszcze częstsze się stały. Kiedy rozeszła się wieść o męczeńskiej śmierci misjonarza, postanowiono przetransportować kamień do Gniezna, tam, gdzie spoczywało ciało świętego. Nadeszła zima, mróz skuł lodem rzeki i jeziora, a śnieg zasypał wszelkie nierówności. Sanie na ten cel specjalne zbudowano, z grubych, dębowych pali. A ciężki był głaz okropnie! Aby przesunąć kolosa, wszyscy chłopci ze wsi wraz z wojskiem razem pracowali. Do sań zaprzęgnięto pięćdziesiąt wołów.

Radość nastąpiła wielka, kiedy w końcu udało się. Ujechali kilkaset metrów i... co to? Wypadek! Katastrofa wielka!

– Uwaga, grząski teren! – krzyknął woźnica. – Zatrzymać sanie!

Ale było już za późno. Wielki zaprzęg pod ciężarem ładunku zapadł się tak, że żadna siła nie była w stanie ruszyć sań z miejsca. Poganiali woły, jedni pehać próbowali, drudzy ciągnąć. I nic. Od tego szarpania na wszystkie strony, misterna konstrukcja sań rozpadła się zupełnie.

Kiedy śniegi stopniały, ludzie spostrzegli, że spod kamienia wytrysnął strumyczek.

– To znak dany z nieba – mówili.

Uznano zgodnie, że tu jest miejsce głązu i więcej próbować nie będą, by go z ziemi tej zabrać. Wkrótce potem okazało się, że strumyczek ten ma cudowną moc. Kto przemył nim ranę, ten do zdrowia powracał. Rany natychmiast się goiły, a kto niewidomy – wzrok odzyskiwał. Dziewczęta okoliczne, aby urodę sobie zapewnić, twarze wodą przemywały.

Kłękano przy źródle, odmawiano modlitwy, ale był ktoś, komu się to nie podobało. Wiecie, wszędzie znajdzie się jakaś czarna owca. Był nią stary Maciej – gbur i niedowiarek. Kpił z pielgrzymek i naśmiewał się z wierzących. Pewnego dnia, gdy już się ściemniło, postanowił:

– Wezmę ja mego starego osła, co na oczy już słabo widzi. Pójdę do tego ich źródła i przekonamy się czy dla tego zwierzęcia ten ich Pan Bóg litościwy się okaże. I wyruszył w nocy. Bydłę iść nie chciało, ale zaciągnął je siłą. Wodą pysk przemył i nic. Ani osioł się nie odmłodził, ani lepiej widzieć nie zaczął.

Chodził więc Maciej po wsi i kpił ze źródła jeszcze bardziej. A Pan Bóg nie lubił, gdy go ludzie na próby i pośmiewiska wystawiali. Może dlatego od zdarzenia z osłem lecznicza woda nagle utraciła swą moc, a kamień wbił się głębiej w ziemię.

Są tacy, którzy powiadają, że wieki głąz z każdym rokiem coraz bardziej się zagłębia w podłoże, a kiedy całkiem zniknie – nastąpi koniec świata.

Czas mijał, a głąz św. Wojciecha (bo tak zaczęto go nazywać) tkwił na swym miejscu. Pan, chłop, ksiądz czy rzemieślnik – wszyscy otaczali go szacunkiem. Okoliczni chłopi w 1840 roku wystarali się nawet, aby uznano go za obiekt chroniony po wieczne czasy i wpisano do księgi wieczystej. Ten zapis sprawia, że nie wolno go wykorzystać na cele budowlane. W taki to sposób kamień stał się najstarszym obiektem przyrodniczym w Wielkopolsce, który jest chroniony prawem. ♦



MIĘDZYCHÓD

JAK POWSTAŁ MIĘDZYCHÓD

Są miasta położone na wyspie. Są i takie, których mury zwisają ze skalnych klifów. Dostępu do jednych bronią jeziora. Do innych wody otaczających je bagien czy zarośla. Ale ile miejscowości, tak jak Międzychód, leży na przesmyku między jeziorem a rzeką? Bardzo wiele.

Ta Kraina Stu Jezior od wieków słynie nie tylko z czystych zbiorników wodnych, nad którymi w chłodne dni spotkamy ogromną ilość zimującego ptactwa, ale też z malowniczych krajobrazów i starych borów.

Były czasy, kiedy owymi ziemiami rządził wojewoda wielkopolski Domarat Grzymalita. Większość czasu spędzał w Poznaniu, ale akurat postanowił wybrać się na inspekcję grodzisk w zachodniej Wielkopolsce. Wezwał dowódcę swej drużyny i tak mu rzekł:

– Przygotuj wojów. Jedźmy wprzód do Aleksandrowa, potem jeszcze w inne miejsca. Dawno tam nie byłem. Co prawda żadne niepokojące wieści mnie nie dochodzą, ale dla spokoju trzeba sprawdzić.

Gdy drużyna wojów była już gotowa do drogi, zjawiła się żona wojewody Hanka z synkiem Teodorykiem i piastunką Jagną.

– Mężu, zabierz nas ze sobą. Siedzimy cały czas w tym grodzie, nic świata żeśmy nie widzieli. W Rokitnie moja rodzina mieszka. Teodoryk ma już rok, a oni go jeszcze nie widzieli. Skoro już jedziesz taki szmat drogi, pozwól nam zabrać się z tobą. Jagna pomoże przy chłopcu – zwróciła się Hanka do męża.

Domarata rozeźliła ta prośba.

– Mowy nie ma! Dzieciaka zabrać nie mogę? A jak co stanie się?

– Nic się nie stanie. Proszę – nalegała żona, spoglądając na niego swoimi pięknymi oczami

– Juści myśmy spakowani.

W końcu uległ. Niechętnie zgodził się zabrać ich na wyprawę i kolumna wyruszyła w kierunku Rokitna. Tam zagłębili się w puszcę nadwarciańską, by sprawdzić brody nad rzeką. W pewnym momencie Hanka podeszła do Jagny.

– Dziecko śpi, a my pewnikiem już blisko celu. Jedźmy przodem – powiedziała.

I wyruszyły, oddalając się od kolasy wiozącej Teodoryka. Malec tymczasem niespodziewanie obudził się...

Wieczorem zatrzymali się na postój w pobliżu grodu Aleksandrowo. Jagna zadowolona z faktu, że dziecko wyjątkowo dobrze zniosło tę długą podróż, zajrzała do powozu, w którym podróżował Teodoryk. Rozsunęła zasłony, mające chronić maluszka przed nadmiernym światłem. Chciała wziąć go na ręce, ale... dziecka nie było. Błada jak duch wychyliła się z karety, krzyząc do Hanki:

– Teodoryk zniknął!

Wojewoda słysząc to poczerwieniał ze złości. Słowem się do nikogo nie odezwał. Jednym susem wskoczył na konia i pogalopował szukać synka. Przemierzył całą trasę, którą przebyli. Gdy Domarat wrócił, było już po północy. Dziecka nie odnalazł. Wściekły wezwał do siebie Jagnę.

– Ty miałaś go pilnować! Gdzie miałaś oczy!? Jeśli do rana nie wrócisz tu z moim synem, rozkaże ściąć ci głowę!



– Dooooobrze mości panie – wyszeptala przez łyzy.

Skłonna była ponieść każdą karę. Nie mogła wybaczyć sobie tego, że nie dopilnowała, czy dziecko jest bezpieczne. Kochała Teodoryka jak własnego syna. Nie rozumiała, dlaczego posłuchała Hanki i oddaliła się od chłopca.

– I po co mi to było! – lamentowała, przemierzając kolejne partie lasu.

Oj, wybaczyć sobie nie mogła. Obarczona przygnębieniem i skulona od wiszącego nad nią wyroku śmierci, niczym nie różniła się od staruszki, która ostatkiem sił ledwo powłóczy nogami. Nie wiedziała w którą stronę iść. Przecież przeszukano już większą część lasu. Dała się ponieść nogom i maszerowała wprost przed siebie drogą, którą jechali, coraz bardziej zanurzając się w ciemnościach.

Usłyszała szelest. „To liście” – pomyślała. Ale odgłosy były coraz głośniejsze. Zdawały układać się w słowa: „meeeezi chodami”, „meeeezi chodami”.

– Halooo! Czy ktoś tu jest? – zapytała cicho Jagna i rozejrzała się. Przeszukała najbliższą okolicę. Nikogo nie znalazła. Pomyślała, że „mezi chodami” musi oznaczać miejsce między brodami. Cóż miała do stracenia. I tak musiała przeczesać puszcę w poszukiwaniu dziecka. Bez niego nie miała co wracać. Odruchowo skierowała swoje kroki do miejsca, o którym mówiły głosy. Coraz wyraźniej słyszała: „meeeezi chodami”, „meeeezi chodami”. Pamiętała, że przed brodami dziecko jeszcze spało.

Jagna dobiegła do pierwszego z przejść przez rzekę. Głosy ustały. Zamiast nich usłyszała niezbyt głośne kwilenie. Dochodziło zza zarośli. Pobiegła tam co sił w nogach.

– To musi być on – wyszeptala. I nie zważając na ostre ciernie, poczęła rozgarniać kłujące gałęzie. Dziecko leżało między nimi. Na drodze ujrzała kilka wystających kamieni. Malec musiał wypaść z kolasy i utknąć w tych mało przyjaznych zaroślach. Pospiesznie wzięła go na rękę i otuliła chustą.

– Biedaczkę, przemarzłeś. Teraz już wszystko będzie dobrze – uspokajała chłopczyka.

Do obozu musiała wrócić przez las, a ten spowity był już gęstą i nieprzyjazną ciemnością. Również ziąb zaczynał coraz bardziej dawać się we znaki. Opatuliła Teodoryka jeszcze mocniej i krzyknęła:

– Hej! Głosie, który mnie tu przyprowadziłeś, pozwól mi i dziecku bezpiecznie wrócić do obozowiska! Obyśmy nie zginęli w tym lesie!

Lampka, którą wzięła ze sobą, dawała ledwo widzialne światło. Pozwoliło jej to nie potykać się o konary drzew. Szła już kilka godzin i coraz silniej odczuwała zmęczenie. Miała ochotę usiąść choć na chwilę. Choć na sekundę zamknąć zmęczone oczy, odłożyć dziecko i pozwolić odpocząć osłabłym ramionom. Ale ilekroć siadała, spadała na nią z drzewa szyszka albo gałąź. To powodowało, że momentalnie trzeźwiała.

– Co ja wyprawiam? Muszę iść. Stale iść, aby nie zmarznąć i aby nie dać się pożreć dzikim zwierzętom – mówiła sama do siebie.

Nie wiedziała, jakim cudem udało się jej dotrzeć do obozowiska. Słońce jeszcze nie wzeszło. Z daleka zauważył ją służący, który obudził się jako pierwszy.

– Jagna! Znalazłaś go!

Jego spontaniczna radość natychmiast obudziła resztę. Uściskom i łzom szczęścia nie było końca Nawet Domarat w końcu rozechmurzył się i przebaczył Jagnie. Wszyscy pytali, gdzie znalazło się dziecko, na co dziewczyna odpowiadała, że „mezi chodami”. Opowiedziała o głosach, dzięki którym trafiła do Teodoryka oraz o tym, jak później bezpiecznie doprowadziły ją do obozu. Następnego dnia wszyscy udali się, aby zobaczyć miejsce, gdzie leżało zaginione dziecko.

– Zobacz – powiedziała Hania do męża. – Po jednej i drugiej stronie tych zarośli widać bród. To dobre miejsce na założenie osady. Zatrzymać się w niej będzie musiała każda karawana, wędrująca bursztynowym szlakiem.

– Zaiste! Podróźni przed przeprawą znaleźliby tu wytehnienie, pożywienie, nocleg i inne usługi. Podejrzewam, że wioska ta będzie się szybko bogacić.

Tak też się stało. Ze względu na położenie, nowopowstałą osadę nazwano „mezi chodami”. Z czasem nazwę zaczęto wymawiać Międzychod, a potem Międzychód.

Gdy miasteczko zaczęło się rozrastać, brody zastąpiono mostami. W XVI wieku za przejazd przez Wartę pobierano w Międzychodzie myto oraz cło od płynących w dół rzeki statków. Bliskie sąsiedztwo Brandenburgii sprawiło, że w mieście osiedlało się wielu Niemców.



I to pewne dzięki nim od średniowiecza równoległe z polską używana była niemiecka nazwa miasta Birnbaum, co oznacza gruszę. Tak, tę samą, którą znajdziecie w herbie miejskim, ale to już zupełnie inna historia, których na Ziemi Międzychodzkiej nie brakuje. Są one jednym z wielu skarbów, obok krystalicznie czystej wody wprost z podziemnego źródła, malowniczych krajobrazów, czystych jezior i pięknych kompleksów leśnych. ♦



O ŻŁOTYM MIECZU

Działo się to dawno, dawno temu. Dwóch kupców jechało z Poznania do Kalisza. Zmęczeni drogą, szukać zaczęli miejsca dogodnego na odpoczynek.

– Patrz! Tam w oddali coś widzę – wskazał młodszy na karcznię. Stała wprost przy głównym trakcie.

Starszy wzrok wyteżył.

– To przecie karczma w Pleszewie! To miejsce jest przekłete. Tam się nie zatrzymamy – rzekł stanowczo.

– A czemu to? Karczma jak karczma, czy nie? – dopytywał młodszy.

– Nie bardziej mylnego. Młody jesteś, nie wiesz jeszcze wszystkiego – prawil starszy.

– Był czas, gdy w tych stronach czarownica grasowała. Karczmarza starego nie lubila. Zdarła z wisielca rąbek koszuli i zrobiła z niej węzelek. Włożyła do niego zaszuszoną wesz, zaszuszonego nietoperza i siedem zdechłych myszy. To niecodzienne zawiniątko, na które urok rzuciła, zakopała właśnie pod karcznią. Od tej pory źle się tam dzieje!

– Przez jeden głupi gałganek? He, he, dobre sobie – żartował młodszy kupiec.

– Ty się naiżywasz, a ja prawdę mówię – przywoływał kolegę do porządku starszy kupiec.

– Właściciel karczmy, dobry to był człek. Ale od czasu sporu w czarownicą dziwne rzeczy dzieć tam się zaczęły. Każdego, kto karczmę opuszczał, jeszcze tego samego dnia nieszczęście spotykało. Był Marych, który złamał nogę zaraz za progiem, Józefowi ze wsi obok koń po drodze zdechł, Bogdana zbójcy napadli, a Wiesław tak się rozchorował, że przez miesiąc z łoża wstać nie mógł. Moja noga tam nie stanie! – zaparł się.

– Ej, szkoda bom trochę zmęczony, ale niech ci będzie. Nie znam się, młody jestem. Nie chce nogi z powodu uroku stracić. Jedźmy dalej – pognął konie młodszy kupiec.

Podobnie jak tych dwóch, większość podróżnych karczmę omijało. Mimo, że miejsce było naprawdę uroczne. Stare dęby oplatały budynek swymi konarami, a w powietrzu unosił się zapach boru, który praktycznie wdzierał się do wnętrza.

Kupców widziała z okna Krystyna, piękna córka karczmarza. O jej urodzie wiadano w całej okolicy, ale ze względu na zły urok, każdy zbliżyć się do niej obawiał.

– Tatku, widziałam wóz na drodze – zagadnęła smutnie do ojca.

– I co? Znów nas ominą?

– Mhm... – mruknęła. – Ojczy, czy zawsze już tak będzie? Czy wszysey będą nas jak ognia unikać!? – rozplakało się dziewczę.

Nie mogąc patrzeć na jej strapienie, ojciec chwycił za szpadel.

– Nie trać wiary córko. Pójdę jeszcze raz tego przeklętego zawiniątka poszukać.

Jak rzekł tak wyszedł z karczmy. Chyba setny raz już to robił. Obkopał całą karczmę, zajrzał w każdą dziurę, szczelinę, pod każdy krzaczek i kamień. Znużony wrócił do chaty. Na jego zrezygnowanej twarzy, jak na mapie rysowały się wielokrotne niepowodzenia.

– I znowu nic? – zapytała Krysia.

– Nic – pokręcił głową i padł zmęczony na ławę.

Wtem słyhać skrzypienie otwierających się drzwi karczmy.

– Czy znajdzie się tu dla zmęczonego wędrowca jakie miejsce i odrobina napitku? – odezwał się głos.



– O, to ty, wejdz – zaprosiła Krystyna znajomego wędrowca.

Druciarz, który drutem spajał stłuczone garnki, należał do tych nielicznych, którzy nie zważali na ludzką gadaninę i karcznię w Pleszewie odwiedzali. Opowieści ze świata przynosił przeróżne. W jego towarzystwie szybko im czas mijał.

– A wiesz Krysiu – mówił popijając piwo. – Teraz na świecie są księgi drukowane. A w nich mądrości wszelakie znajdziesz. Jeśli tylko czytać umiesz.

– Tak? A jakie na przykład? – dopytywała karczmarzówna.

– O krajach dalekich, o dziejach swojego kraju, o gwiazdach. Nawet o tym, jak bogactwa i miłość zdobyć.

– Oooo, to mi się podoba! – rozweseliła się Krystyna. – Może znajdę tam informację o jakimś skarbie, który mógłby nasz los odmienić.

I od tej pory piękna Krysiu u dworskiego skryby zaczęła uczyć się czytania. Zdobyła tę umiejętność i zaczęła czytać wszystkie dostępne w Pleszewie księgi. Posiadła wiedzę o górach, morzach i ludziach. Nigdzie jednak nie natrafiła na informację o tym, jak zdobyć skarb. A to było największym jej marzeniem.

Lato było już późne. Krystyna, wzorem innych pleszewianek, wybrała się do lasu na jagody. A iść daleko nie musiała, bo las podchodził pod samą karcznię. Nie uszła pół godziny, gdy usłyszała szelest łamanych gałązek.

Przestraszona zakrzyknęła najostrzej, jak umiała:

– Ktoś ty? Swój czy wróg?

– Można powiedzieć, że swój – odrzekła tajemnicza postać.

Był to mężczyzna ubrany tak, jak bohaterowie ksiąg, które czytała. Nadto mówił do niej językiem wytwornym, który do tej pory tylko w tych księgach spotkała.

– Odważna z ciebie kobieta – zauważył.

– Odważna, nieodważna. Skoro swój, mów czego tu szukasz? – odrzekła hardo.

– Oddaliłem się od swoich towarzyszy. Jestem głodny i spragniony, a tak się składa, że grosza przy duszy nie mam.

– Zatem chodź ze mną, dawno w karczmie nie mieliśmy gości – zaprosiła nieznajomego.

„Może wędrowiec przyniesie nam szczęście” – pomyślała piękna Krystyna prowadząc go do ojcowskiej karczmy. Karczmarz podjął gościa, czym tylko mógł. Zmęczony wędrowiec zasnął na ławie.

– Tętent koni słyszę od strony Poznania – powiedział ojciec, wychodząc przed dom.

Na gościniec przed karcznię zajechał hufiec zbrojnych.

– W czym mogę panom pomóc? – zapytał podróżnych.

– Od dwóch dni młodego króla szukamy. Zagubił się w lesie podczas polowania. Zmęczeni jesteście. Chcielibyśmy u was przenocować i nazajutrz w dalszą drogę ruszyć.

– Zapraszam – uśmiechnął się karczmarz, wprowadzając ich do izby. – Gość w dom, Bóg w dom. Cóż za dzień! Ten przybysz chyba nam szczęście przyniósł. Naszykuj pokoje – poprosił córkę.

– A któż to u was za ławą śpi? – dopytują, dziwnie spoglądając na przybysza.

Jeden z nich zbliżył się do śpiącego.

– Miłościwy panie, to ty? – obudził delikatnie śpiącą postać.

– Aaaaa ... – ziewnął przebudzony. – O, moje straż! Jak dobrze, że jesteście!

Ogromne było zdumienie przybyszy, kiedy okazało się, że na ławie pod skórą spał... sam król, którego od dwóch dni szukali.

– Jakie to szczęście, że jesteś zdrow i cały! – zawołał dowódca. – Wyprawmy ucztę na cześć odnalezionego króla! – zaproponował, zwracając się do gospodarzy.

Ucztowano całą noc. Zjedzono nie tylko wszystkie zapasy z komory karczmarza, ale też jelenia ubitego w trakcie polowania. Z piwnicy wytoczono beczkę najstarszego wina. Była radość, muzyka i tańce. Takiej wesołości to miejsce dawno nie zaznało.

Młody sokolnik, co na lutni przygrywał, raz po raz spoglądał z ukontentowaniem wielkim na Krystynę. A to oczko puścił, a to słówko pochlebne rzucił. Dziewczę rumieniło się jak jabłuszko, oczka wstydlawie spuszczało, jednak miłe jej były te zaloty.

Władca zauważył, że Krystyna nie tylko na sokolnika spogląda, ale również z podziwem zerka na miecz złoty, który król miał u boku.

– Podejdz tu Krysiu – zawołał ją. – Miecz jest tylko pozłacany. Zabierz go i powieś w izbie na pamiątkę, że tu byłem. Niech będzie wyrazem mej wdzięczności za gościnę. Przyniesie wam więcej dobra niż sam jest wart.



I tak się stało. Miecz, który nazwano złotym, przyniósł szczęście. Odtąd izba w karczynie wciąż była pełna gości, a karczmarz odnalazł wreszcie węzełek czarownicy. Pokropił go wodą święconą i spalił w ognisku. Odtąd szczęście za gościło pod jego dachem.

Po kilku dniach do karczmy zapukał królewski sokolnik z wielkim naręczem kwiatów.

– Szanowny ojcze, o rękę twej pięknej córki pragnę prosić! – rzekł od wejścia, padając na kolana przed Kryską i karczmarzem.

– Tak – usłyszał dwa razy.

Młodzi padli sobie w ramiona, szczęśliwi z miłości, która się im przytrafiła.

– Wiesz – wyznał potem narzeczonej sokolnik. – Ja, podobnie jak ty, w księgach szukałem recepty na szczęście. A znalazłem je w lasach pod Pleszewem, zdobywając uczucie pięknej i dobrej karczmarzówny.

Król wyposażył hojnie swojego sokolnika. Wystarczyło na huczne wesele i na rozbudowę karczmy w zajazd wspaniały. Na wjeździe do niego umieszczono tablicę z napisem „Pod złotym mieczem”. ♦



JAK PNIEWY ZBUDOWANO

Dawno temu, na miejscu miasta Pniewy, rósł gęsty las, pełen zwierza. Po polanach biegały sarny i jelenie, w gęstwinie kryły się dziki. Tu i tam mruczał groźnie niedźwiedź, przemknął lis czy ryś. Wiezorami rozlegało się wycie wilków i pohukiwanie sów. W wodach pobliskiego jeziora roiło się od ryb. Przyciągało to rybaków i myśliwych. Razem z nimi nadciągali smolarze, którzy z drewna wypalali węgiel.

– Nie ma co dalej jechać! Cóż więcej człękowi do życia potrzeba? – przekonywał swą żonkę Borzymir. – Osiedlamy się!

– Jak my tu żyć będziemy? W tej gęstwinie, daleko od ludzi? – obawiała się Nasława.

– Obaczysz, wszystko będzie dobrze – uspokajał ją mąż.

Niebawem okazało się, że na podobny jak oni pomysł, wpadło wiele innych osób. Jedna chata, druga, trzecia. Ludzi w okolicy zjawiało się coraz więcej. Osadnicy poczęli lasy karczować i na polowania chadzać. Co świt po kilka łodzi na jezioro wypływało.



Wieści o nowych przybyszach dotarły do właściciela puszczy – wielmożego z rodu Nałęczów. Ten postawny starzec z siwą, długą brodą sprawiał wrażenie człowieka groźnego. W rzeczywistości roztropny był i w gruncie rzeczy dobry.

Gładząc brodę, w głos powtarzał:

– Nawet rzemieślnicy zjawiać się zaczęli, mówicie? Hmm...

– Tak, panie. Już nie tylko rybacy, drwale i smolarze się osiedlają. Są kołodzieje, kowale, sukiennicy...

– Skoro są rzemieślnicy to i nadwyżki żywności są. I potencjał do rozwoju duży.

Osobiście udał się do osadników, aby wydać dekret:

– W miejscu tym, do mnie należącym pozwalam wam wznieść miasto. Rządzić nim ma rada, w której zasiądą najbardziej szanowani spośród was.

Wkrótce zachrobotyły piły, zastukały siekiery. Przybysze poczęli gorliwie wycinać drzewa na budowę grodu. Ani się człowiek obejrzał, a wykopano głęboką fosę, otoczono wysoką palisadą. Niskie chaty otoczyły plac. Pojawił się piękny drewniany kościół, kramy kupieckie i warsztaty rzemieślnicze. Wstępu do grodu strzegły dwie bramy z mostami zwodzonymi. I zdawało się, że szczęśliwie i spokojnie się im wiodło, ale...

Tak się nakręcili ludziska na rozbudowę grodu, że nacięli do tego drzew bez kontroli i opamiętania. Gałęzie, drągi, pocięte pnie były wszędzie. Kłody wały się pod nogami. Stosy drewna piętrzyły się na rogach ulic wyżej niż mury obronne. Goście przyjeżdżający do miasteczka, widząc to, kpili z mieszkańców:

– Nazwijmy ich „głupimi pierikami” – ha, ha, ha!

Lecz właściciel tych ziem wcale nie był skory do żartów. Rozgniewał się srodze. Przybył szybko i purpurowy ze złości ryknął na radę miejską:

– Tyle drzew zmarnowaliście! – krzyczał. – Kara was nie minie, jeśli w tydzień nie zrobicie z tym porządku!

Zebrali się rajcy. Drapali po głowach, rywali włosy z brody:

– Co robić? Spalić? Nie. Za dużo dymu i jeszcze pożar wybuchnie – odpowiadali sami sobie. – Może nowe domy pobudować? Nie. Przecie w mieście miejsca nie ma, a za murami niebezpiecznie.

Ogłosili wreszcie:

– Ten, kto sposób na drewno znajdzie, otrzyma sówitą nagrodę.
Stawiło się trzech młodzieńców, których nagroda do działania zachęciła: Michał – drwał, Stach – syn kupca i Bartek – biedny sierota, ale roztropny parobek.

– Trzeba wysoką wieżę zbudować – rzekł Michał, najstarszy.
– Ale po co komu ta wieża? – zastanawiali się rajcy.
– Sprzedać! – rzucił średni, Stach.
– Ba! Tylko gdzie znajdziesz takich, którzy kupią tyle drewna? – pytali starsi. Nie wiedział. Najmłodszy, Bartek poprosił o dwa dni do namysłu.
– Do lasu pójde – rzekł. – I znajdę rozwiązanie.

Rajcy bezradnie wzruszyli ramionami i pozwolili Bartkowi wyruszyć w drogę. Zapisał się daleko w gęste ostępy. Znał tam pewnego pustelnika, który nie lubił się ludziom pokazywać. Zajmował się bartnictwem, czyli hodowlą pszczół. Leczył ludzi ziołami, miodem i woskiem. Chłopiec zapytał go:

– Czy z drewnianych pni da się zrobić ule dla pszczół?
– Oczywiście! – rzekł staruszek, zadowolony, że ktoś jego fach chce przejąć. – Ja ciebie wszystkiego nauczę. I pierwsze roje pomogę złapać.

Bartek wrócił do miasteczka i rzekł do rajców tak:

– Ze wszystkich pni zbudujemy ule. Miód i wosk są w wysokiej cenie, więc zarobimy na tym. Rajcy osłupieli.
– Cóż, budujmy! – przytaknęli jednogłośnie.

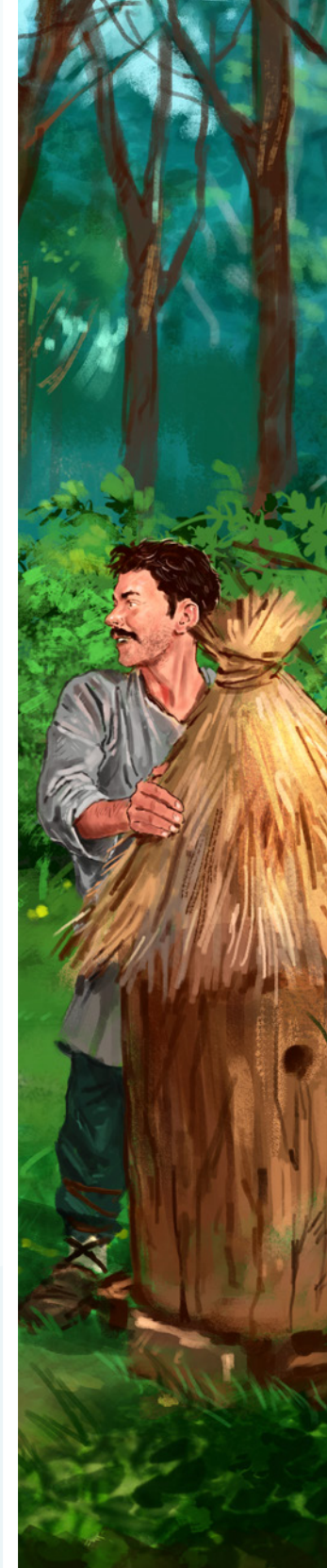
Niebawem każdy z mieszkańców miał u siebie po kilkanaście uli. Stosy pni zniknęły, a kiedy minął tydzień i właściciel przybył do miasteczka, pochwalił pomysłowość mieszkańców. Bartek otrzymał od rajców mieszek złota, a stary Nałęcz, który potomka nie miał, tak się roztropnością i zaradnością chłopaka zachwycił, że przygarnął go na syna i dziedzica.

Na pamiątkę rozwiązania kłopotu z pniami właściciel nadał miastu nazwę Pniewy, a sam przyjął nazwisko Pniewski.

Mijały lata. Wiele osób odwiedziło i cały czas odwiedza Pniewy. Nikt już nie waży się naśmiewać z mieszkańców, bo ich dobre pomysły i pracowitość uczyniły gród zasobnym i pełnym

możliwości dla nowych, chętnych osadników. Bartłomiej ukochał ten gród, którego sukces wyrósł przecież z jego pomysłu. Średniowieczną drewnianą zabudowę, mało odporną na pożary, z czasem zastąpiono murowaną. Wybudowano pałac oraz piękne kościoły, jak św. Wawrzyńca czy św. Ducha. Bartłomiej doczekał się tu wielu mądrych i przedsiębiorczych potomków. Tylko po ulach nie pozostał nawet ślad.

Czy wszystko w opowieści jest prawdziwe? Tak dokładnie, to nikt już nie pamięta. Ale ślady tej historii zapisane są na pniewskim herbie. Na środku niebieskiej tarczy widnieje pień – wskazówka, że miasto z pni zbudowano albo że ule, czyli pnie, w nim stały. Skrzyżowane klucze są symbolem władzy rajców. Srebrna chusta zaś, czyli nałęcz, to znak rodowy Pniewskich. ♦





ZATOPIONE MIASTO PNIEWY

Działo się to w zamierzchłych czasach, kiedy ludzie jeszcze pisać nie umieli. Pniewy rozciągały się wówczas w miejscu jeziora Pniewskiego. Bogaty to był gród. I co tu wiele mówić, mieszkańcom wiodło się tak dobrze, że zapomnieli o Panu Bożu. Nawet chleb przestali szanować.

– Połóż no mi bochenek pod stopy, abym obuwia nie zamoczyła – rozkazywały damy swym służkom. A i u służby nie było lepiej. Hazard, bijatyki i rozwiązłość stały się codziennością. Ludzie stawali się w swej niecnocie i rozpasaniu tak zuchwali, że dnia pewnego miarka się przebrała. Niebiosa zażrmiały, miejsce spowiła ciemność. Gdy znów wyszło słońce, miasta już nie było. Zatonęło pod falami jeziora. Podobno do dziś, każdej nocy słychać z głębi wód dźwięki dzwonów.

Minęły stulecia i obok jeziora powstały nowe Pniewy.

O tragicznych dziejach dawnego grodu zupełnie zapomniano. Nie pamiętało o nich także dwoje staruszków, którzy żyli sobie w małym domku przy rynku. Pan Maciej zajmował się



drobnymi naprawami, a jego żona Zofia dziergała na drutach swetry, skarpety i szaliki. Stary Maciej lubił wieczorami łowić ryby w jeziorze. Pewnego razu, kiedy przy księżycu zarzucił wędkę, zerwał się silny wiatr. Tafla wody zmarszczyła się, a w poszumie dało się słyszeć odgłosy dzwonów. Nagle z fal wynurzyły się ciężkie żelazne wrota. Maciej przeląkł się, zbladł i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Dobry człowieku – odezwały się wrota. – Ty jeden możesz wyzwolić stary gród z mojej zaklęcia. Jutro o północy przyjdź w to samo miejsce i przynieś siedem narzędzi: łopatę, młot, łom, topór, pilnik, świder i obcęgi. Ale pamiętaj, nikomu nic nie mów, żadnego narzędzia nie zapomnij, bo poniesiesz sromotną karę.

Mężczyzna obiecał, że wypełni wszystko. A wtedy drzwi zaśpiewały dziwną pieśń:

„Nabierz wody na łopatę, ujrzysz miasto przebogate!

Wal toporem, uderz młotem, życia wzbudzisz w nas ochotę!

Świdrów Świdrem, świruj Świdrem, aż się z toni wodnej wydrę!

Szlify, szlify nas pilnikiem, ruszamy wszyscy w tany dzikie,

A na koniec obcęgami uwolnimy się już sami!”

Maciej wrócił do domu blady jak ściana.

– Wyglądasz jak trup. Co ci jest? – wypytywała z przejęciem żona. Ale Maciej milczał. Przygotował sobie kosz z narzędziami. Siadł przy oknie i w milczeniu czekał. Zofia tymczasem krzątała się po domu. Zawadziła o coś raz i drugi.

– A niech mnie! – krzyknęła.

Przyjrzała się. Z futryny drzwi wystawał gwóźdź. Niewiele myśląc, wzięła z kosza obcęgi, aby rozprawić się z żelastwem. Nie odłożyła jednak narzędzia do kosza. Powiesiła przy piecu. W końcu zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans przed północą. Maciej chwycił kosz i wyruszył nad jezioro. Była cisza. W gładkiej tafli wody odbijał się księżyc. Ledwie wybiła północ, z głębin wypłynęły żelazne wrota.

– Dotrzymałeś słowa! Nagroda cię nie minie!

I zaczęły śpiewać pieśni, a mężczyzna starał się wykonywać jej wezwania. Nabrał wody na łopatę. Patrzy, a z jeziora miasto się wynurza! Uderzył młotem i siekierą we wrota – roz-

legają się radosne krzyki! Podważył łomem kłódkę – pękła! Wiwat! Gdy użył świdra i pilnika – zabiły radośnie dzwony! Przez kraty żelaznych wrót próbowały się przedrzeć liczne dłonie. Maciej zrozumiał. Sięgnął do kosza, by wydobyć obcęgi. Lecz... co to!?! Nie ma! A to ręce mieszkańców zatopionego miasta łapią powietrze i szepty słysząc:

– Daj obcęgi, daj obcęgi... Przerażony mężczyzna począł gorączkowo szukać narzędzia w trawie. Na próżno. Nie wiedział, że obcęgi w domu pozostały.

Wtedy z setek gardoł mieszkańców zatopionych Pniew rozległ się dźwięk przerażenia.

– Aaaaaaaaaaaaa! – i wśród huku fal gród znowu runął w wodę! Długo się jeszcze burzyło jezioro, zanim zaległa cisza. A stary Maciej stał na brzegu skulony bezradnie. Nie mógł zrozumieć jak to się stało, że choć schował obcęgi do kosza, tam ich nie było. Tymczasem wrota które dalej pływały po jeziorze krzyknęły:

– Coś uczynił! Taka noc nie powtórzy się nigdy! Miasto już na zawsze zostanie pod wodą! Za karę zanieś nas teraz do kościoła na własnych plecach! – to powiedziawszy wrota wyskoczyły z wody i runęły na Macieja. Były tak ciężkie, że starzec musiał się czołgać. Rankiem organista znalazł go przy murze kościoła.

– Pomocy, dobry człowieku! Zdejmijcie to ze mnie – jęczał Maciej.

Uwolniony spod ciężaru, tak opadł z sił witalnych, że całe tygodnie po tym z łoża podnieść się nie mógł. Zofia opiekowała się nim troskliwie, czyniąc sobie stale wyrzuty:

– Czemu żem ja te obcęgi do kosza nie odłożyła! Oj czemuż!

A żelazne wrota? Podobno znajdują się do dziś w kościele św. Wawrzyńca. Według jednych to drzwi w przejściu z zakrystii do ołtarza, według innych wmurowano je w ścianę świątyni. Byliście w tej świątyni? Warto do niej zajrzeć, zobaczyć starą kruchtę z chrzcielnicą i w ciszy posłuchać jeszcze innych opowieści, które kryją w sobie stare mury. ♦



O POZNAŃSKICH KOZIOŁKACH

Zaraz się zaczniesz!
– Przepuście mnie. Nic nie widzę!

Takie na rynku poznańskim trwały przepychanki. Ludu co niemiara, a widzieć chciał każdy. Był rok 1551. Wszystkie oczy skierowane w jedno miejsce – do góry, na ratuszową wieżę. Za chwilę miał być zaprezentowany nowy zegar. Istne cacko. Mistrz Bartłomiej z Gubina cały rok nad nim pracował. Układał śrubki, przykręcał, dopieszczał. W końcu robotę swą ukończył.

Nie każde miasto było na to stać. Ale Poznań mógł sobie pozwolić na niejedną rzecz, o której inne miejscowości zaledwie mogły pomarzyć. Uroczystemu odsłonięciu zegara towarzyszyć miała wielka uczta dla rajców i wojewody. Wiadomo. Dobrze zjeść lubi każdy i nie wiadomo czy bardziej na prezentację zegara, czy na ucztowanie czekano. Najlepsi kucharze zjechali, swoje specjały przyrządzali.

Wyśmienity w swoim fachu kucharz Gaska przygotował dla wojewody pieczeń z sarniny. Wiele godzin już stał przy ruszcie. Masłem ją polewał. Obracał i mruczał z zadowolenia



pod nosem. Czuł bowiem, że smaczna będzie wyjątkowo. Zapach taki unosił się w karczmie, że oblizywali się wszyscy, którzy koło niej przechodzili.

Nagle rozległo się na rynku:

– Wojewoda jedzie! Już jest!

A Wojewodzianka pierwsza zasie w szat nadobnych idzie krasie.

– No, no! Ale ratusz rozbudowano! A ten zegar niczego sobie! Piękny jest nieprawdaż? – odzywa się spod wąsa wojewoda do rajcy.

– Azali piękny ratusz! A zegar! O ho, ho! Takiego nigdzie nie mają! – odezwał się spod wąsa rajca klepiąc się po brzuchu.

Kucharz choć na chwilę wyjść chciał. Zobaczyć co pod ratuszem się dzieje. Osobiście szanownego włodarza przywitać. Wiercił się i kręcił. W końcu Kuchcika Pietrka zawołał i tak mu rzekł:

– Pilnuj mi tu tej pieczeni. Obracaj ją stale wolno nad ogniem. I z oka mi jej nie spuszcza! Słyszano? Ja zaraz wrócę.

– Oczywiście – przyrzekł Pietrek i stanął posłusznie przy ruszcie.

Pietrek był prostym chłopakiem i jak wszystkie dzieci ciekawym, ruchliwym – długo w jednym miejscu usiedzieć nie zdołał. Przy tym strasznie ciekaw był tego nowego wynalazku. A najbardziej zastanawiało go, jak ten zegar działał od środka. Bo przecież zobaczyć zegar z zewnątrz to nie to samo, co od środka!

– Co tam jest? – zastanawiał się. – Pewnie same cudenka: jakieś łańcuszki, śrubki i Bóg jeden wie jeszcze co. Od tego stania przy ogniu gorąco się Pietrkowi zrobiło. W gardle go drapać zaczęło. Do tego skwar lał się z nieba, mimo iż była już połowa września. I spoziierał Pietrek na małą beczkę z piwem, z której mistrz czasem popijał.

„Tylko łyk. Jeden łyk zaspokoiłby to przeraźliwe pragnienie” – marzył. „Zrobię to szybko i nikt się nie zorientuje”. Rożen puścił, susa dał i już wlewał piwo do gardła. Wtem huk ogromny. Iskry lecą z komina. Kuchnia czarna od dymu. To udziec sarni obsunął się z rożna, wpadając wprost w ogień. Pieterk biedny nie wie co począć. W panice krzyżeć zaczyna:

– Pali się! Pali się!

Kucharz Gaska wskoczył do kuchni.

– O mój ty rety! Cóżes ty narobił! – łapie się za głowę i krzyczy. – Cóż ja teraz dam wojewodzie! Toż to jego ulubione danie! Patrz! Sala na biesiadę gotowa: mięsiwa, ryby, pieczywa i ciasta, wszystko jest. Węgrzyn i miody stoją już na stołach, a danie główne?! A moja pieczeń?! Co ja pocznę, co ja pocznę?!

Gdy uspokoił się już nieco, dał Pietrkowi dukata i rzekł:

– Lec no po kawałek mięsiwa jakiego, szybko trzeba inną pieczeń upichcić.

Biegał Pietrek od jatki do jatki. Wszystkie drzwi pozamykane. Biegnie dalej. To samo.

– No tak! – olśniło go i szepcze sam do siebie pod nosem. – Wszyscy przecie przed ratuszem stoją. Zegar oglądają. Poszukam dalej.

I pognał Pietrek co sił w nogach aż za miejskie mury. Zatrzymał się dopiero nad Wartą, na łąkach. Był bliski załamania: „Nie żem nie znalazł. Co ja pocznę?”

Wtem doszedł go dziwny odgłos „beee, beee!”. Nastawił ucho. Czy ja dobrze słyszę? Beczzenie? Znow usłyszał „beeeeee”. Rozejrzał się uważniej. Za krzakiem pasły się dwa malutkie, białe koziołki. Ucieszyło go to bardzo. W jednej chwili zerwał postronek i gnał wprost do ratusza. Niewiele przejmował się tym, że jakaś kobieta pędzi za nim, krzyząc:

– Złodziej! Oddaj kozy!

Szybko biegł i zgubił ją na pierwszym zakręcie. Wpadł jak burza do kuchni.

– Imś Mikołaju Gasko! Zobacz pan co mam! Jatki na cztery spusty zamknięte, ale mam to – krzyczy Pietrek pokazując zwierzęta.

– No pięknie – pochwalił go kucharz. – A teraz daj mi je. Ogień już rozpalony.

Ale koziołki, gdy tylko zorientowały się, że na ruszt mają być wsadzone, jak nie wierzągnęły kopytami i ruszyły na kuchcika z rogami. Ten upadł na ziemię i wypuścił sznurki z rąk, a gdy zorientował się, co się stało, koziołki były już daleko. Wbiegły na rynek. Przez stragany, pomiędzy ludźmi, tratowały wszystko na drodze. Pietrek w krzyk i za nimi. Ale zwinne koziołki okazały się szybsze. Dały hyc wprost do ratusza, hyc na schody i dalej na wieżę.

Wskoczyły na kamienną półkę i precyzyjnie się na zewnątrz, na gzyms nad zegarem. Działo się to bardzo szybko. Wojewodzie umknęła chwila, w której zwierzaki wbiegły do ratusza. Za to zadarł właśnie głowę do góry, by zobaczyć, jak działa zegar. Zdziwił się ogromnie. W małym okienku pojawiły się dwie białe głowy koziołków, które bodły się tak zawzięcie, że nie tylko wojewodę, ale i cały zgromadzony tłum rozbawiły.

Śmiech rozległ się na rynku. Zarówno władze miejskie, jak i poznaniacy, słowem wszyscy wybuchli śmiechem. Takiej wesołości dawno nie widziano. Dwa małe koziołki niczym się nie przejmowały i nadal bodły się radośnie rożami, pozwalając, aby tłum je podziwiał. Widoku takiego nikt w Poznaniu przedtem ani potem nie widział.

Na ten moment nadbiega zdyszany Pietrek, za nim imię Gaska. Patrzą na wieżę i oczom nie wierzą.

– Nasze koziołki! – krzyknęli.

Jakaś starsza kobieta przez tłum się przeciska i lamentuje:

– Niegodziwcy! Okradli mnie, dyć to moje kozły tam na wieży! Jaśnie wielmożny Wojewodo, pomóż biednej wdowie! – prosi, padając na kolana.

Ten spytał życzliwie:

– A któż to wam krzywdę wyrządził, gadaj?

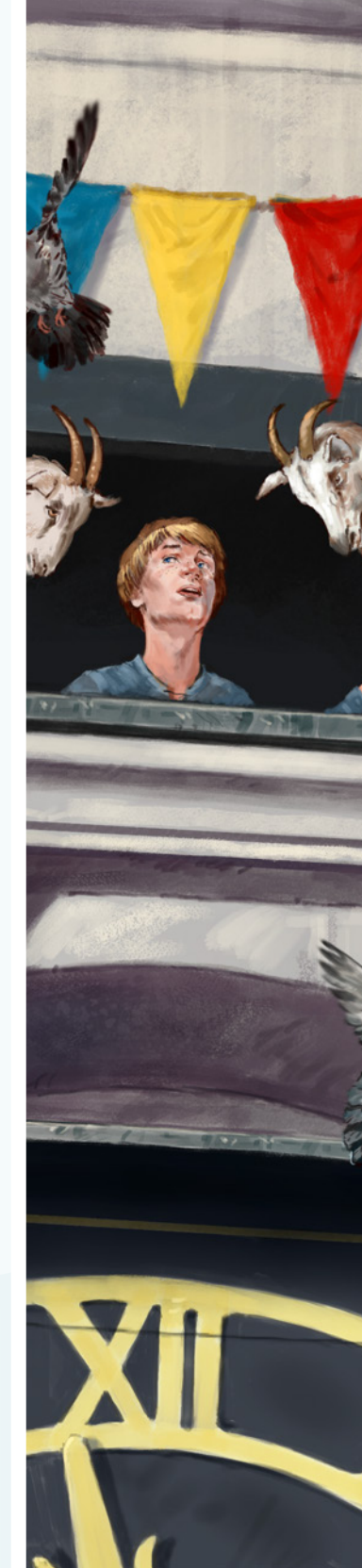
– Dyć to Pietrek, kucheik, moje koziołeczki z łąki wprost zabrał i tu je przywłókł.

Kucharz na Pietrka łypie, ten speszony nie ma gdzie uciec. Skulił się. Widząc, że Pietrek słowa z siebie wydusić nie może, Mikołaj Gaska całą historię spalonej pieczeni co do joty opowiedział. Ta historyja niemało rozbawiła wojewodę. Gniew swój poskromił, kradzież Pietrkowi wybaczył. Kozły zdjęto z wieży i oddano lamentującej właścicielce.

A uczta? Uczta odbyła się bez pieczeni. Jej braku nikt nawet nie zauważył. Tak humory wszystkim dopisywały i tyle innych smakowitych kąsków na stołach stało, że uginały się od frykasów różnych. Jeden drugiemu co rusz historię o Pietrku i o koziołkach opowiadał. Burmistrz z wojewodą uznali zgodne, że takie wydarzenie trzeba upamiętnić. Polecili więc Bartłomiejowi, by zegar swój o mechanizm z koziołkami wzbogacił w taki sposób, aby figury zwierząt o każdej pełnej godzinie się ukazywały i trykały tak wesoło, jak owego wrześnieowego popołudnia.

Pietrek natomiast, jako najbardziej zainteresowany tajemnicami pracy zegarmistrzowskiej, został samego mistrza pomocnikiem. W końcu od środka mógł oglądać wszystkie śrubki, łańcuszki i mechanizmy napędzające zegar. I wiercie lub nie, pracę tę pokochał bardziej niż wcześniejsze asystowanie w kuchni, więc wykształcił się później na dokładnego i cenionego czeladnika.

A koziołki poznańskie, tak jak przed wiekami rozbawiły tłum zgromadzony przed ratuszem, tak samo po dziś dzień radują wszystkich tych, którzy w samo południe przed poznańskim ratuszem stają. ♦





PUSZCZYKOWO

O RUSAŁCE, CO POLOWAŁA NA CHŁOPCÓW

Znacie Puszczykowo? To małe, malownicze miasteczko wypoczynkowe, oaza spokoju zaledwie kilka kilometrów od gwałtownego Poznania. Swoją urok zawdzięcza wyjątkowemu położeniu w dolinie Warty. Jeziora, rzeki, lasy, a do tego czyste i zdrowe powietrze. Już dawno temu ludzie zorientowali się, że są to warunki sprzyjające rozwojowi turystyki.

Aż do Poznania docierały słuchy o pięknej okolicy oraz pełnych wdzięku dziewczętach, a zwłaszcza o jednej... o tajemniczej Rusałce:

– Skórę ma jak jedwab! A włosy jak złote łąny zbóż powiewające na wietrze – mówiono.
– A jaki głos, jaka gracja!

W całym Poznaniu huczało od opowieści o tajemniczej nimfie z Puszczykowa. Nic zatem dziwnego, że pociągami i parostatkami, którymi Wartę z Poznania przypływał, do miejsciny przybywali zachęceni tymi opowieściami młodzieńcy, którzy za wszelką cenę chcieli odnaleźć spełnienie swoich marzeń o idealnej piękności. Zaliczał się do nich również Grześ, podróżujący z kolegą ze szkolnej ławy – Antkiem.



Grześ miał w Puszczykowie ciotkę, u której zamierzali się zatrzymać i spędzić kilka najbliższych dni. Przy okazji chcieli na własne oczy przekonać się o urokach niezwyklej panny. Gdy wsiadali do pociągu, na poznańskim dworcu był już spory tłum. Na początku ubiegłego wieku, ruch wycieczkowy do Puszczykowa był tak duży, że pociągi z poznańskiego dworca kursowały w tamtym kierunku co 10 minut! Musiano nawet dobudować dodatkowy tor. Nasi bohaterowie podróżowali w niezłym ścisku.

– Uważajcie chłopcy – ostrzegli ich inni podróżni. – Uroda rusałki zdradliwa. Niejeden już chciał jej mężem zostać. Każdy, który się do niej zbliżył, przepadł jak kamień w wodę.

Małomówny Antek zamyślił się na te słowa.

– Hmm, a może trzeba zasłonić oczy? – mruzczał pod nosem.

Zdawał się obmyślać jakiś plan. On zawsze zanim coś zrobił, zastanawiał się trzy razy.

– Antek, co ty się martwisz! Razem zawsze dawaliśmy radę! Damy i teraz! – dodawał mu odwagi Grzesiu. Atletyczny i hałaśliwy kompan wydawał się niezego nie bać.

– O, wysiadamy! – krzyknął Grześ, dostrzegając znajome zabudowania za oknami.

– Cześć ciociu! – rzucili w progu chłopcy, wchodząc do jej chaty.

Grzegorz był tak niecierpliwy i przejęty, że dobrze do domu wejść nie zdążył, a już gdzieś zniknął.

– Palto rzucił, butów nie ma. Oj, ten raptus! Nawet herbatki nie wypił – skarżyła się ciocia.

Chłopak tymczasem do lasu na poszukiwania rusałki wybiegł. Nad rzeką, niemal w samym środku Wielkopolskiego Parku Narodowego, Grześ ujrzał tę, której szukał. Obserwował ją wpierw z ukrycia. Zdawała się jaśnieć na tle wody i drzew. Skórę miała faktycznie bardzo jasną, delikatną. Głowę zdobił przepiękny wieniec z kwiatów. Tańczyła.

– Jak tak urocza nimfa może być groźna? – wyszeptał sam do siebie.

Zauważyła go w końcu.

– Podejdz no bliżej młodzieńcze. Boisz się mnie? – rzekła.

– Ja? Ależ skąd! Właśnie przyszedłem – odrzekł hardo pewny siebie kawaler.

Poprawił koszulę, wyskoczył czym prędzej i chwycił rusałkę za rękę.

– Zatańczysz ze mną piękna pani?

– Oczywiście – uśmiechnęła się anielsko.

Zapatrzony w rusałkę Grzesiu nie zauważył, jak godziny mijały i nastał mrok. Tańczyli bez wytchnienia jak zaczarowani. W końcu tańczącą parę odnalazł szukający Grzesia od kilku ładnych godzin Antek.

– Grzesiu, Grzesiu! – wołał po lesie. – Ciotka twoja martwi się. Chodź już do domu. Wróćmy jutro.

Ale tamten nie reagował. Jakby nie słyszał.

– Coś jest z Grzechem nie tak – wyszeptał sam do siebie Antek. – Chce tego czy nie, spróbuję go wyrwać z sideł tej podejrzanej piękności.

Nałamał gałęzi i rzucać nimi zaczął. Hałasu narobił takiego, że rusałka przestraszona na moment odskoczyła od Grzesia.

Antek szarpnął kolegę za rękę i odciągnął do pobliskich zarośli.

– Idziemy! Szybko! – poganiał go.

Spojrzał jednak na stopy dziwnie zamroczonego kolegi i pokręcił głową z niedowierzaniem. Faktycznie, szybko to chyba z takimi kulasami nie da rady.

Świtało już, gdy doszli do domu ciotki. Grześ bowiem stopy od tańczenia miał tak zbolale i posiniaczone, że Antek całą drogę musiał go ciągnąć za sobą. Biedak będzie przez tydzień jeszcze ledwo powłóczył nogami. Antek padł na jedno z krzeseł, które ciotka podsunęła strudzonym poszukiwaczom romantycznych przygód.

– Ja po prostu nie mogłem przestać tańczyć! – tłumaczył się Grześ. – Chciałem jeszcze i jeszcze! To było jak urok jakiś!

– Oj, ta twoja raptowność kiedyś cię zgubi, zobaczysz! – narzekała ciotka.

– Nie słyszałeś, że ledwie kilka dni temu takiego jak ty zbałamuciła. Tańczył aż zmarł z wyczerpania. Znalaziono go potem w lesie. A nogi miał takie jak ty, całe posiniaczone. Innego w ostatniej chwili uratowano – ciągnęła dalej. – Ta nimfa, ta rusałka tak go zabawiała, że przez dwa dni śmiał się do rozpuku. Podobnie jak ciebie omamiła go swoimi mocami. Uratowano go cudem. Tak go twarz i brzuch bolał, że do dziś na żarty ochoty już nie ma.



– Z rusałką nie ma żartów! – stwierdził Antek. – Innym sposobem trzeba ją pokonać. Nijak jej zwyczajów nie zmienimy. Oblaskawić ją trzeba.

– Zorganizujecie Wianki na Warcie w Noc Kupały – doradziła im ciotka. – Kiedyś odprawiano Wianki co roku i spokój był z rusałką. Nikomu krzywdy nie wyrządzała. A teraz do dobrobytu ludzie tak się przyzwyczaili, obyczaju zaniechali i patrz co masz! Grasuje znów, dlatego dobrą radę wam daję. Róbcie wianki – spojrzała im wymownie w oczy i odeszła do swojej roboty.

– No to co? – Grzesiu z Antkiem spojrzeli po sobie. – To do dzieła!

– Ludzie! Wszyscy do pomocy! Wianki plećcie z nami! – wołali po wsi całej.

Narobili wianków całe kosze. Duże, małe, z pachnących ziół i kwiecica wszelakiego. Robili je przyjezdni turyści, robili młodzieńcy, robiły panny, matki z dziećmi, parobkowie i zamożni. Wszyscy społem we wspólnej sprawie pracowali.

Święto odbyło się huczne. Wianki rzucano, grano, tańczono, weselono się całą noc. I wydaje się, że... w końcu się udało! To okiełznanie było na tyle skuteczne, że dzisiaj o nimfie i jej wyczynach nikt nie słyszał.

A może byłoby warto, aby taka rusałka od czasu do czasu się ukazała i trochę postraszyła? Zwłaszcza tych, którzy śmiecą w Wielkopolskim Parku Narodowym i którzy swoim bezmyślnym zachowaniem niszczą to piękne i unikalne miejsce. ♦



RAWICZ

O HERBIE RAWICZA

Wryte na herbach chwalebne dzieje od zawsze były powodem do dumy dla ich właścicieli. Własny herb posiadał każdy rycerz i szlachcic. Jednym z najstarszych w Polsce jest herb Rawicz. Rody z ziemi rawskiej nosiły go już w XIV wieku, ale jego dzieje – jak się zapewne domyślicie – są o wiele starsze. Zaczynają się w Anglii.

Byli sobie raz brat i siostra. Mieli na imię Swenon i Klotylda. Nie było to jednak takie zwykłe rodzeństwo. To były dzieci angielskiego króla Kanuta Wielkiego.

– Synu – wyrzekł Kanut na łożu śmierci. – Tobie zostawiam władzę w całym królestwie. Jedno mi tylko przyobiecaj!

– Co zechcesz tatku – jednym tchem zapewniał Swenon.

– Pamiętaj zawsze o twojej siostrze. Młoda ona i piękna, pretendentów do jej ręki będzie zapewne wielu. Gdy mnie zabraknie, do ciebie będzie należało, aby posąg jej dać odpowiedni. Kiedy za mąż pójdzie, wyposaż ją w ziemię i wszystko, co jej potrzebne, aby godnie żyć mogła.



Z twarzy Swenona zniknął wszelki wyraz. Myślami już planował podboje i liczył złote monety. Nie w smak mu było dzielić się majątkiem z siostrą.

– Sweoon, oobiecaj mi – ostatnimi siłami oczekiwał odpowiedzi władca.

Jego oczy były już zamknięte, gdy po dłuższej chwili syn potwierdził:

– No dobrze...

Miesiąc nie minął, a do zamkowych wrót swaty pukać zaczęły. O, nie było to na rękę Swenowi.

– Królu mądry, zrobisz co uważasz, ale pomyśl – marszczyli brwi doradcy. – Dopiero co majątek ojcowski pomnażać zacząłeś. Chcesz to zaprzepaścić?

– Cóż mam począć? Ojcu na łożu śmierci obiecałem... – rozmawiał ze swoimi myślami Swenon.

Przekonywać go poczęli:

– Ty o nic się nie martw. My wszystkim się zajmiemy. Twa siostra zniknie. Co ty na to? Ogłosisz tylko, że zaginęła. A gdzie i jak? No nie wiadomo przecież. Krwią niewinną ty się nie splamisz, a i my własnymi rękami jej nie uśmiercimy. Wierząca z niej osoba. Jak Bóg miłościwy będzie chciał, zachowa ją na pewno.

Chwilę się jeszcze wahał Swenon, ale w oczach już mu monety złote błyszczwały. Miłość braterską i rozum całkiem przysłoniły.

– No dobrze... – wycedził powoli. – To umawiamy się, że ja o niczym nie wiem. A wy gęby mi na kłódkę trzymać!

Przez chwilę młody król poczuł smutek, że siostry swej już nigdy nie zobaczy, ale co postanowione, to postanowione. Władca musi rządzić twardą ręką – usprawiedliwił sam siebie. Inaczej majątek i ziemię potracę. A do tego dopuścić nie mogę!

Podli doradcy zabrali Bogu ducha winną Klotyldę i wrzucili do klauzy w fosie, gdzie trzymali głodzonego niedźwiedzia. Nie raz on już zastępował niegodziwcom kata w królestwie. Londyn obiegra wieść, że piękna Klotylda, zabrawszy klejnoty, opuściła Anglię.

Lud oburzony począł myśleć i mówić o niej niepocholebnie:

– Patrzcie, jaka światowa! Na ojcowiznie siedzieć się nie chciało?! Dalekie kraje jej się zamarzyły!

Nikt nawet się podejrzewał, jak okrutny los spotkał księżniczkę. Minęło sześć dni. Zawołał król jednego ze swoich sług i nakazał mu:

– Idź no do jamy niedźwiedziej, przynieś mi pukiel włosów mej siostry. Przez wzgląd na łączące mnie z nią więzy krwi, chcę mieć po niej pamiątkę.

Poszedł biedaczyna cały trzęsąc się ze strachu. Zanim doszedł do jamy przeżegnał się kilka razy. Najstraszniejsze rzeczy spodziewał się zobaczyć.

– Biedna panienka, cóż ona komu uczyniła? – żałował jej w myślach. – Zapewne wiele z niej już nie zostało.

Zebrał się wreszcie na odwagę. Począł odsuwać ciężkie wrota, gdy nagle zdało mu się, że słyszy cichutki, dziewczęcy śpiew. Co to? Czy ja głos kobiecy słyszę?

– Hop, hop! Jest tam kto? – zawołał.

Wszedł i... stanął jak wryty. A zaraz potem padł na kolana.

– Cud, cud! – zaczął wykrzykiwać.

Przed nim stała Klotylda, cała i zdrowa. Śpiewała jedną ze swych ulubionych piosenek. Olbrzymi niedźwiedź leżał u jej stóp pokorny jak piesek.

– To ja. Nie bój się – rzekła niewiasta. – Wepchnięta do jamy padłam bezwładnie na kolana i w strachu śmiertelnym żarliwie błagałam Stwórcę wszechmocnego o łaskę, o litość. Bóg mnie wysłuchał. Życie me ocalił.

Nie wiedząc czy człowieka, czy zjawę widzi, sługa upuścił klucze i w te pędy rzucił się do ucieczki. Jak wicher wpadł do sali tronowej.

– Królu, królu! – wołał zadyszany. – Wybacz, że ci przerywam. Siostra twa! Ona, ona, ona żyje!

Król nie mniej od swego sługi zszokowany, zerwał się na równe nogi. Ruszył do wyjścia. Ledwie co do fosy doszedł, jego oczom ukazał się widok niecodzienny.

Do zamku zbliżał się niedźwiedź, a na jego grzbiecie siedziała ona – Klotylda – piękna jak zawsze. Promieniała. Nie miała śladów ran, skaleczeń ani nawet zadrapania!

Swenon, widząc doprawdy cud, padł przed siostrą na kolana:

– Siostro najdroższa! Mimo, że królem jestem, nie jestem godnym z tobą rozmawiać! Niebiosy same cię uratowały. A ja? Ja tylko na siebie patrzyłem, tylko na swój zysk. Jak mogłem być tak okrutny i chciwy?! Oddam ci wszystko, całe królestwo, koronę! Tylko wybacz mi, wybacz! – żebrał o przebaczenie.

– Nie chcę korony, bracie. Daj mi tylko to, co po ojeu mi się należy – odpowiedziała spokojnie dziewczyna. – Chcę poślubić księcia lotaryńskiego. Moje serce od dawna kocha go z wzajemnością. Ty zdawałeś się nie widzieć tego i za wszelką cenę do małżeństwa nie dopuszczałeś. Choć krzywdę ogromną mi uczyniłeś, wybaczam ci, bo tak mi moja wiara karze. Uznałeś swój błąd. Od tej pory nie bądź już okrutny. Rządź królestwem jak nasz ojciec, rozważnie i z dobrocią.

– Niech stanie się, jak w swej świętej skromności pragniesz, siostro moja – odparł skruszony Swenon.

Cały kraj się weselił, gdy dobre wieści się rozeszły. Niebawem wesele i ucztę wyprawiono. Szczęśliwe małżeństwo Klotyldy Bóg obdarzył siedmioma synami, z których kilku poszukało sobie żon i miejsca zamieszkania w krajach oddalonych od ziemi swych rodziców.

Wyobraźcie sobie, że dwóch synów Klotyldy przybyło do Polski. Osiedlili się nad Rawą. Z nich pochodzi ród Przyjemskich, którzy ze względu na pobliską rzekę, swą osadę nazwali Rawiczem. Na wieczną zaś pamiątkę cudownego ocalenia swojej matki, umieścili w herbie szlacheckim dziewczę z koroną na głowie, siedzącą na czarnym niedźwiedziu. W dzisiejszym herbie Rawicza pozostał wizerunek niedźwiedzia, jako nawiązanie do herbu rodowego założyciela miasta. ♦



ROGOŹNO

O NAZWIE MIASTA

Dawno, dawno temu, w tym samym miejscu, gdzie później stał rogoziński zamek, znajdował się solidny i całkiem okazały gród. Miał wiele zalet obronnych, zwłaszcza dzięki otaczającym go bągom doliny Wełny.

Żył w nim bogaty, stary rycerz, który po latach ciężkiej pracy, cieszył się już tylko z małych codziennych przyjemności. Miał trzech dorosłych synów, z których był bardzo dumny. Rycerz był poganinem i wielkim wrogiem nowej wiary. Gdy tylko książę Mieszko I przyjął chrzest, w okolicy zaczęli pojawiać się misjonarze, zachęcający innych, aby poszli w ślady swego władcy. Stary rycerz na słowa Dobrej Nowiny okazał się bardzo oporny.

– A wy tu czego? – wypędzał księży za opłatki. – Ja tam krzycić się nie będę! Mam swoich Daćboga i Swaróżyca. Inni bogowie nie są mi do niczego potrzebni!

– A i wy czasem tego nowego Boga czcić nie zaczynajcie! – upominał synów. – Wiare dziadów pielęgnujcie. Lepiej na tym wyjdziecie.



Ale dzieci, jak to dzieci, rzadko się z rodzicami zgadzają. I jest tak nie od dziś. Najmłodszy syn sprzeciwił się ojcu. Potajemnie, nocą, gdy księżyc świecił, przyjął chrzest święty i nową wiarę przyjął. Starsi bracia pozostali wierni pogaństwu i nie zamierzali zmieniać swoich przekonań. Wiedzieli, że srogi ojciec, gdy tylko dowie się o decyzji najmłodszego potomka, rozgniewa się na dobre. Tak też się i stało.

– Czasy się zmieniają. Jako chrześcijan czeka nas lepsza przyszłość – tłumaczył swój wybór najmłodszy z synów.

– Już ja się z tobą rozprawię! O ty, przeniwierco jeden! Ojca słuchać nie chcesz, to może bat ci rozum przywróci! – krzyczał ojciec co sił w gardle.

Stary postanowił natychmiast rozprawić się z synem. Złapał bat i z całych sił zaczął go okładać. Tan zaś, nauczony przez lata posłuszeństwa rodzicom, nie miał odwagi się bronić i podnieść rękę na ojca. Stary rycerz, nie potrafiąc opanować swojej wściekłości, bił tak długo syna, aż ten padł nieżywy.

Starsi bracia, gdy tylko dowiedzieli się co się stało, postanowili pomścić śmierć najmłodszego z braci. Namówili innych młodych rycerzy i poszli rozprawić się z okrutnym ojcem. Otoczyli siedzibę starego poganina i po zacieklej walce, gdy już ostatni jego sprzymierzeniec padł, poczuli, że sprawiedliwości stało się zadość. Zwycięzcy hucznie świętowali zwycięską rozprawę „nowego” ze „starym” i na końcu gród spalili. Wydawało się, że wszyscy zginęli, jednak nikt nie mógł odnaleźć ciała starego rycerza. Przeszukali wszystkie zakątki gródka.

– Ojca nie ma! Szukajcie w okolicznych lasach – polecili swoim załogom.

Synowie sami również udali się na poszukiwania. Najstarszy z synów z biegiem rzeki Wełny na zachód szukał. Drugi pojechał w przeciwną stronę. Czwartego dnia po zdobyciu gródu, wśród trzciny i rogoży na brzegu jeziora, najstarszy z synów ujrzał niewyraźną postać całą we krwi. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to ojciec – wychudzony i śmiertelnie wyczerpany.

– Ojce, to ty? – pochylił się nad rannym. – Wybacz nam proszę! Co mogę dla Ciebie zrobić? Powiedz!

– Nie synu – odpowiedział stary rycerz. – Mi już nie pomóc nie może. Wybaczam. I to ja przepraszam, że taki srogi dla was byłem. Okrzej mnie tylko, to może spotkamy się w tym niebie, o którym misjonarz powiadał.

Syn spełnił życzenie ojca. Zadowolony starzec powrócił wtedy w gąszcza rogoży i tam zakończył żywot.

Szczęśliwy z tak nagłej przemiany ojca, najstarszy z synów na cześć tego zdarzenia założył wokół miejsca przyjęcia chrztu osadę i wyposażył ją jak należy. Niebawem miejsce zaczęło określać nazwą wywodzącą się od owych rogożowych gąszczy, pośród których konał stary rycerz.

Średni syn nie wrócił nigdy do domu. Okazało się, że utonął w jeziorze podczas poszukiwań ojca. Od tego czasu, mniej więcej co dziesięć lat, wychodzi z jeziora postać wielkiego czarnego psa, aby straszyć przechodniów. Jest niewiele mniejsza od konia, z jej oczu błyskają ogniki, a z nozdrzy buchają płomienie. Miejscowi ludzie kojarzą zjawę ze średnim synem – pokutnikiem, który pozostał poganinem i do końca swych dni pozostał wielkim wrogiem chrześcijaństwa. ♦





ROGOŹNO

JEZIORO ŻĄDAJĄCE OFIAR

Jeszcze nie tak dawno temu, ludzie dawali wiarę różnym rzeczom. Niby chrzest. Niby jeden Bóg, ale jak kto poza granice największych miast się wychylił... O! Tam każdy tak samo jak o tym, że dzień dniem, a noc nocą przekonany był, że rzeki i jeziora, a nawet najmniejsze stawy i rowy pełne są demonów... zwłaszcza te w dzisiejszym powiecie obornickim. Do Rogoźna bokiem przytuła się jezioro, a z dwóch pozostałych stron otoczone jest wstęgą rzeki. W takim miejscu przesady związane z wodą musiały być bardzo silne. I były.

Działo się to w roku pańskim 1823. Dzień wydawał się spokojny, nawet pogodny, dopóki nad jednym z domów nie zaczął unosić się dym. Zaraz potem rozległ się straszliwy krzyk:

– Pożar! Miasto płonie!

Choć jezioro blisko, gasić nie było prosto. Ludzie z wiadrami biegali jak szaleni. Na niewiele się to zdało. Wiatr natychmiast rozwiął płomień na sąsiednie budynki i ulice. Ani się ludzie obejrżeli, jak pożar trawił już całe miasto. Tragedia straszna. Tłum na ulicach zaczął



się gromadzić, bo dachy waliły się na głowy. Wielu spod gruzów wydobywano. Dzieci w ostatnich chwilach z płomieni wynoszono.

Nikt nie wiedział, jak żywioł zatrzymać. Lament się podniósł wielki:

– Wszyscy zginiemy!

– Słuchajta ludzie! – woła nagle ktoś z tłumu. – Nie zginiemy! W okolicy Rogoźna bytuje właśnie Odmówca. Uczony to człek, pošlijmy po niego. On pomaga w nieszczęściach, na pewno coś poradzi.

Odmówca zatrzymał się w pobliskiej karczynie. Nie miał bowiem własnego domu. Objeżdżał miasta na swym czarnym rumaku, szukając pokrzywdzonych przez los ludzi, by im w niedoli ulżyć. Taki był z niego człek. Nie wiadomo od kogo, ale dowiedział się o nieszczęściu i poгнаł konia co sił na miejsce tragedii.

– Pomóc wam spróbuje – obiecał.

Sobie tylko znanymi sposobami począł „zamawiać” ogień, aby ten się uspokoił. Płomienie stawały się coraz mniejsze. Wyglądało na to, że zgasną.

– Hura! Niebezpieczeństwo zażegnane! – głośno cieszyli się ludzie.

Ale co to? Płomień buchnął ponownie. Rozgorzał. Słup ognia stanął wielki tak, że kto żyw wcześniej podobnego mu nie wdział. Ze zdwojoną siłą dachy się wała. Miasto pali się ponownie!

– Odmówco, cóżeś uczynił?! Czemu pożar znów nas atakuje? – pytali mędrca ludzie pełni strachu.

– Przykro mi. Pomyliłem się podczas „zamawiania” i całe miasto musi spłonąć – odrzekł z pełną powagą.

– Ale jak to!?! Miałeś nam pomóc! – zaczęły się oburzać kobiety.

Odmówca, aby dowieść słów swoich słuszności raz jeszcze począł „odmawiać” ogień. A ten buchał z coraz większą siłą. W końcu mężczyźni nie na żarty się zdenerwowali:

– Tyś nie mędrceem jesteś, a oszustem! Wszystkich nas do diabła pošlesz! Jak nie ocalisz naszego miasta, wywlecemy cię na rogatki i ukamienujemy!

Wtedy Odmówca podniósł głos i donośnie krzyknął:

– Aby wam pomóc, złożę ofiarę z siebie. Jeśli na moim koniu przepłynę to jezioro, miasto ulegnie zniszczeniu. Jeśli jednak wraz ze zwierzęciem utonę, miasto ocaleje. Ale za waszą niewdzięczność, za to żeście zabić mnie planowali, rok w rok spadać będzie na tę miejscowość kara. Jeżeli ja utonę, co roku jeden mieszkaniec również straci życie w jeziorze, a gdy któregoś roku tak się nie stanie, w następnym zginą przynajmniej dwie osoby – złożysz tę dziwną obietnicę, poгнаł wprost do wody.

Wszyscy zgromadzeni na brzegu jeziora wypatrywali, co też stanie się z Odmówcą.

– Patrzcie! Jest! – krzyknął ktoś, widząc, że ten szczęśliwie dopłynął do połowy.

– Niech utonie, niech pójdzie na dno – szeptały głosy.

I wtedy momentalnie koń z jeźdźcem zniknął pod wodą. Ale po chwili wynurzył się.

– Niech go lichy pochłonie! – wołali ludzie, chcąc ocalić miasto.

I wtedy znów tonął. Tak długo jak pozostawał na powierzchni, słyszał utyskiwania, gdy zniknął, pojawiała się radość.

W końcu nie wynurzył się już ponad taflę jeziora. Wnet pożar zaczął gasnąć, aż ustał całkowicie. Niektórzy widzieli ponoć jak jeździec z całych sił wciskał głowę konia do wody.

– Szukał śmierci – mówili. Niewesoło mu było do wściekłych ludzisk wracać.

Przepowiednia, niestety, sprawdziła się co do joty. Zdarzało się, że co roku ktoś zniknął w odmętach jeziora, a w niektórych latach, nawet kilka osób. Na szczęście to już historia. Dziś Jezioro Rogozińskie to chętnie odwiedzane miejsce wypoczynku i rekreacji. ♦



O DREWNIANYM NIEDŹWIEDZIU

Na terenach, które dziś Swarzędz zajmuje, niegdyś rozciągało się królestwo. Pytacie: kiedy to było? Oj, tak dawno, że w żadnej księdze tego jeszcze nie spisano. Ktokolwiek zawitał w te strony, widział wpierw zamek, bo ten górował nad okolicą. Wokół rozpościerały się: lasy bogate w zwierza, jezioro czyste jak lustro, pola usiane trawą i kwiatami, rzeka pełna ryb. Zmęczeni trudami podróży wędrowcy u miejscowych dobre słowo i odpoczynek znajdowali. Oczy przecierając z niedowierzaniem pytali:

- Pani miła, czyżem do rajy trafił? Ludzie dobrzy, okolica piękna, spokojna, bogata.
- Tu tak już jest – odpowiadano z dumą i uśmiechem.

I byłoby życie w tym ziemskim rajy niczym niezmaczone, gdyby nie pewne wydarzenia...

Bożena w obejściu się krzątała. Patrzy: chłop jej biegnie z pola. Rękoma wymachuje, krzyczy w niebogłosy:

- Owieczki moje, owieczki moje kochane, wszystkie przepadły!

Dobiegł na ławkę. Dyszy jak lokomotywa:



– Owce! Zniknęły! Nie ma ni jednej! Dasz wiarę? – wyrzucił z siebie.

Kobiecina opadła na ławkę. Oboje rzewnie zapłakali. Owce były bowiem jedynym ich źródłem utrzymania. Szybko wyjaśniło się kto stracie tej jest winien.

Mieli oni sąsiadów, a sąsiedzi córkę – Hanię. Wiosen liczyła już kilkanaście.

– Uważaj na siebie kochanie – rzekła tamtego dnia matka do Hanki, posyłając ją do lasu po grzyby.

– Oj, mamó! Przecież nie napadnie mnie gigantyczny grzyb z zębami wilka i dziesięcioma łapami. Hi, hi, hi! – podśmiewywała się Hania. O! Wyobraźnię to ona miała bujną.

– Nie minęła godzina, dziewczę biegnie z lasu takim pędem, że o własne nogi o mało się nie potyka.

– Matko, matulu! Potwór, potwór! Okna i drzwi zamykaj! Prędko! – jednym tchem wyrzuciła. Matka uniosła brwi i pyta z niedowierzaniem:

– Córku, a ty śniadanie dziś jadłaś? Może z głodu ci takie bajania do głowy przychodzą?

– Ale to nie bajki! Matko patrz! – ciągnie ją do okna.

– Uuuuuuuuu! – słychać ryk.

Toezy się z lasu na wielkich nogach niedźwiedź. Nie taki, jakiego spotykacie w polskich górach. Ogromny, z dwiema głowami i pazurami jak grabie. Capnął łapą, a drzewa jak zapalki na ziemię spadły.

– Ludzie! Zamykajcie okna! Ryglujcie drzwi! – rozległo się po okolicy całej. I siedzieli tak wszyscy w strachu tygodniami. A zwierz pustoszył okolicę. Zżarł wszystkie owce i konie i coraz to nowych szukał przysmaków.

Wielu miejscowych zwierza ubić próbowało. Poginęli tylko. W końcu król po całym królestwie i daleko poza jego granicami ogłosił: „Kto niedźwiedzia pokona, temu oddam pół królestwa i rękę pięknej księżniczki, córki mojej”.

No i zaczęło się. Oj, ilu to rycerzy nie przewinęło się przez pałac królewski! Co bardziej wysportowani próbowali zwierza zająć z drzew. Inni z maszynami oblężniczymi na niego ruszali. W zbrojach z mieczami i psami go atakowano. Wielu swych sił próbowało. Ledwo z życiem uchodzili. Przybył i Bartek ze Szczepankowa, rycerz nad rycerze!

– Ja zwierza podstępem ubiję – zaparł się. – Smoka pokonałem, co dla mnie niedźwiedź bury! – zawołał, stając przed królem.

– Idź zatem, niech twoje strzały niezawodne pomogą ci pozbyć się go raz na zawsze – pobłogosławił go władca.

Pewny siebie Bartek, rozpoczął przygotowania do walki. Długo zbierał znane tylko sobie zioła, potem miksturę tworzył.

– Składu tej trucizny tajemnej i niezawodnej nikomu nie zdradzę! Gotowi żeście uprzedzić mnie w drodze po królestwo i księżniczkę. A pójdźcie mi stąd! – odganiał ciekawskich.

Tygodnia trzeciego skończył przygotowania i śpiwając pod nosem, jakby na spotkanie z ukochaną się szykował, udał się do lasu. Podszedł do niedźwiedzia.

– O, śpisz draniu! Za chwilę zaśniesz snem wiecznym, niechże napnę łuk! – zakrzyknął radośnie, pewny rychłego zwycięstwa.

Zajął bezpieczną pozycję. Wycelował w kudłatą bestię. Strzelił.

– Uuuuuuuuu! – przeszywający ryk rozległ się nagle! Drzewa zatrzęsły się w swych posadach. Nie w serce, lecz w nogę zwierza trafił! Jak nie pacnął Bartka niedźwiedź! Jak nie runął na ziemię śmiałek. Ani obejrzał się nasz łucznik hardy, już stał się drugim śniadaniem zwierza.

Zgubiła go pewność zbyttnia. Za brak ostrożności najwyższą cenę zapłacił. Szybko wieść o tym strasznym wydarzeniu się rozniosła.

– O la Boga! Straceni jesteśmy! – rozpaczano w chatach. – Zwinniejszego rycerza od niego świat nie zna! Dzielny taki! Mężny za dziesięciu był! Szkoda chłopaka, o szkoda wielka!

A nas jeszcze bardziej! Kto da radę temu niedźwiedziowi? – pytano.

Król sam, choć młody, w rozpacz popadł. Posiwał ze strapienia, jakby lat mu przybyło za dwadzieścia. Ręce bezradnie rozłożył i zapłakał po rycerzu:

– Bliski mego królestwa koniec! Oj, bliski!

Ale wiecie, jak to jest. Czasem, gdy wydaje się, że wszystko już stracone, przez boczne drzwi wkrada się nadzieja. Cicha, skromna i nienarzucająca się, zupełnie jak młody drwal, który właśnie przemierzał królewskie włości.

Dobry i prosty chłop z niego był. A przy tym wrażliwy. Nasłuchał się opowieści o ciężkim losie tutejszych ludzi. Pożałował ich w sercu.

– To ja pójdę do króla – oznajmił. – Rycerzem może nie jestem, ale gadać ze zwierzętami umiem. Niech mi pozwoli spróbować.

– Jeszcze i ty chcesz się dać pożreć? Odpuść młodzieńcze – odburknął władca.

– Rodziny nie mam. Nikt po mnie płakać nie będzie. Nikt nic nie straci, jeśli mi się nie powiedzie. Już jako mały chłopiec rozmawiałem z ptaszkami, królikami i jeleniami. Może pomoc na ta umiejętność się okaże – zaczął przekonywać króla młody drwal.

– Niech cię więc Bóg strzeże – rzekł w końcu władca, kiwając głową na znak zgody. – Ale samego cię nie puszcę! Kilkaset metrów za tobą, w zaroślach niech moi wojowie czekają. Kto chętny z mieszczan, niech rusza z nami. Może choć życie twe uda się nam ocalić.

O świcie długa kolumna ludu już przez las sunęła. Stanęli przed gawrą ogromną.

– Dalej sam pójdę – wstrzymał pozostałych chłopak i zaczął zbliżać się do niedźwiedzia.

O, nie podobały się niedźwiedziowi te odwiedziny.

– Uuuuaaaa!!! – rozwarł paszę tak, że ci co bliżej stali, poupadali na ziemię.

– Wracaj chłopcze! Wracaj! – wołali.

Ale drwal nie zawrócił. Mówiąc coś w niezrozumiałym języku, powoli zbliżał się do potwora. A bestia, zasłuchana w melodie jego słów, stała nieruchomo, niczym zahipnotyzowana.

– Patrzcie ludzie, już jest przy nim! – krzyczano.

Wielu oczy dłońmi zakryło, by tej strasznej chwili nie widzieć. Kilku tylko przez palce śledziło wydarzenia. Ale co to? Nic strasznego się nie wydarzyło! Drwal dotknął niedźwiedzia, a ten... w ogromy drewniany posąg się zamienił!

Lud zamarł! Chwile potem wielkie „Hurrrraaa!” rozległo się po lesie.

– Niech żyje drwal! Niech żyje!

Z tej niezwyklej okazji, wielką ucztę wyprawiono. Cały lud świętował – młodzi i starzy, biedni i bogaci – wszyscy razem weselili się jak nigdy przedtem i być może nigdy potem. Królowie w oko wpadł odważny i skromny drwal, a ten, widząc jej przychylność, nie odmówił nagrody, bo sam od pierwszego wejrzenia w królewskiej córce się zakochał.

– Tak szczęśliwy to jam jeszcze nigdy nie był! – zwierzył się król swoim dworzanom.

Radość jego zdała się promieniować na całą krainę, która znów stała się żyzna, piękna i spokojna. Wnet kolejną wielką ucztę wyprawiano – weselną tym razem. Pod mądrymi rządami młodych, zniszczenia, które zasiał straszny zwierz, powoli odbudowano.

A niedźwiedź? Zapytani o niego miejscowi, wskazują na drewniany posąg. W lesie pozostał, gdzie jego miejsce. Pszczelarz ul w nim urządził i tak pozostało po dziś dzień. A turyści, ciekawi tej niezwyklej atrakcji, coraz tłumniej zaczęli przybywać Swarzędz odwiedzać. ♦





SZAMOTUŁY

○ HALSZCE

Halszka to niezwykle imię, prawda? Należało ono do pięknej kobiety, której romantyczną, burzliwą i smutną historię pamiętają kamienie szamotulskiej baszty.

Dawno, dawno temu, w zamku w Szamotulach mieszkał książę. Swoich dzieci nie miał. Był za to jednym z opiekunów Halszki. Nie była to jego prawdziwa córka, ale od tamtych wydarzeń minęło tyle czasu, że mało kto już o tym pamiętał. Imię jej było Elżbieta, ale wszyscy powszechnie znali ją pod zdrobniałym imieniem Halszka.

Wiedzieć musicie, że ta urodziwa i dobra panienska miała jeszcze jedną zaletę, dla wielu kandydatów ważniejszą aniżeli dwie poprzednie. Była bogatą wnuczką Zygmunta Starego. Mało kto wiedział, że już od samego najwcześniejszego dzieciństwa życie nie oszczędzało tej niewinnej istocie trosk i kłopotów. Ojca swego poznać nie zdążyła.

– Basiu moja, małżonko najdroższa – prosił żonę na łożu śmierci Elia. – Weź no pergamin i pisz: „Ja Elias, książę ostroński postanawiam następująco: Gdy dni swoich dopełnię, żona moja Barbara oraz dziecię, które w swym łonie nosi (była to właśnie Halszka) otrzymać mają połowę mojej fortuny. Dziecko, które się urodzi ma być uznane za mojego



dziedzica bądź dziedziczkę, a opiekę nad nim mają sprawować wyznaczone przeze mnie osoby (tu wymienił kilka osób) wraz z królem Zygmuntom Augustem, który wszelkie decyzje dotyczące związku małżeńskiego ma pobłogosławić.”

– Teraz spokojnie umierać mogę. Wiesz Basieńko – mówił czule do żony. – Do bogactwa zawsze wielu swe ręce klejące wyciąga. O kawałek ziemi i kilka posiadłości gotowi zabić, a nawet wojnę rozpętać. Dopilnuj, aby wszystkie postanowienia tu spisane wykonano.

A król miłościwy niech będzie gwarantem, że naszemu dziecku z powodu koniugacji politycznych nikt krzywdy nie wyrządzi.

– Jak sobie życzysz mężu – zapewniała Barbara, trzymając dłoń ukochanego.

Najbogatszy możnowładca w królestwie niebawem zmarł. Od razu po urodzeniu Halszka wraz z matką, na mocy zatwierdzonego przez króla testamentu, stała się dziedziczką ogromnej fortuny swojego zmarłego ojca. Dziewczynka podrosła w latach i nabrała mądrości, a jej uroda rozkwitła jeszcze bardziej. W zamku, podzameczu i okolicznych osadach często była głównym tematem plotek.

– O, Halszka nasza piękna nad piękności! I serce dobre ma – gadano. – Ona jedna tu do nas zagląda. Patrzy czy komu źle się nie dzieje, czasem groszem sypnie, słowo dobre powie. O, takiej dziewczuchy to ze świecą szukać! Patrzyć tylko jak kawalerzy zaczną do niej zjeżdżać, o rękę prosić.

I faktycznie, niebawem do zamku rozpoczęły się pielgrzymki kandydatów, chcących ubiegać się o rękę pięknej i mającej panny. Bogaci magnaci, jedni starzy, inni młodzi – każdy marzył o tym, aby wżenić się do tak bogatej rodziny. Beata, matka Halszki, odwlekała jednak wydanie córki za mąż, szukając dla niej jak najlepszej partii.

– Przykro mi – odpowiadała wszystkim. – Wdowa nie może bez zezwolenia bliskich krewnych pozwolić na ślub córki. Aby Halszka za mąż pójść mogła, zgodzić się muszą wszyscy jej opiekunowie, łącznie z królem Zygmuntom Augustem.

– Co ona sobie myśli? – rozprawiali rozzłoszczeni możnowładcy, odchodzący spod bram z kwitkiem. – Że rządzić nami wszystkimi będzie, że my możni nie dopniemy swego, hę?

– A jakże! Zgodzi się czy nie, sposób na poślubienie panny znajdziemy! – gotowali się do działania.

I rozpoczęły się powinowactwa wymuszone. Jak się pewnie domyślacie, ani one dobrowolne nie były, ani udane. Mirażami biednej dziewczyny zainteresowani byli wszyscy, ale każdy po swojemu, bo każdemu chętnemu do jej reki co innego się opłacało.

Razu pewnego jej rękę oddać postanowiono możnemu wojewodzie. To zaaranżowane małżeństwo zupełnie nie było po myśli Halszki i jej matki. Dziwicie się jej? Starszy o wiele był od niej, przysadzisty i grubiański. Do tego miał opinię rozpustnika.

– Masz go poślubić i basta! – rozkazywali biednej dziewczynie. – W Kórniku kolegiatę na zbór przemianował. Jeśli go nie poślubisz to samo ze świątynią w Szamotułach uczyni!

Ale Halszka żadną miarą za pana wojewodę iść nie chciała. Napisała nawet do niego list, w którym błagała, aby poniechał starań o jej rękę. Woląa gardło dać, niż zostać jego żoną.

Radzili się wszyscy co czynić, skoro dziewczka nie chce. Ona tymczasem miała zupełnie inne plany. Serce jej nie było z kamienia. Zakochała się, ale nie w kandydatach, których jej podsuwano.

– Leszku – prosiła swojego wybranka. – Ucieknijmy, proszę. Obrzydzenie czuję na myśl o tych wszystkich bogatych gburach, których mi prezentują! Chcę poślubić ciebie. Opiekunowie moi nigdy nie zgodzą się na nasz ślub.

– Ale dokąd uciekniemy, moja miła? – zastanawiał się Leszek. – Szanse na szczęście mamy marne, ale nawet ułamek szansy lepszy niż jej brak. Spróbujemy! – postanowił.

Gdy noc zapadła i mrok spowił zamkowe mury, wymknęli się strażom.

– Teraz jestem tylko z tobą – cieszyła się Halszka.

– A ja z tobą – odwzajemniał jej uśmiech ukochany.

Szczęście ich miało ciemne strony. Gdy na zamku zauważono brak Halszki, od razu wyruszył pościg. Zakochani musieli się ukrywać. Mieszkali w lasach, jaskiniach i opuszczonych chatach. Czasem gościli ich życzliwi ludzie.

– Kiedyś zbudujemy dom, mały z ogródkiem, z dala od mojej rodziny – marzyła Halszka.

– A ja będę pracował, aby niczego ci nie zabrakło – zapewniał ją Leszek.



Tak, można powiedzieć, że byli wówczas szczęśliwi. Niestety w końcu dopadła ich książęca pogoń. Młodzieniec zginął od strzały, a Halszkę zabrano z powrotem do zamku.

– Błazenady pod moim dachem uprawiacie! – krzyknął rozścieczony jeden z opiekunów Halszki. – Dość mam waszych podstępów i knowań. Zaraz tu porządek zaprowadzę. Nie chcesz poślubić kogo ci proponujemy, nie poślubisz nikogo. Halszka! Niech twej urody już nikt nie ogląda! – wrzasnął na przestraszoną dziewczynę podając jej czarną maskę.

– Ja już żyć nie chcę. Rób ze mną co chcesz – odparła.

Zrezygnowana zakryła twarz i przyodziła czarne jak przepelniający ją smutek szaty. Odrętwiała, nie stawiała oporu, gdy zamknięto ją w zamkowej wieży. Przez wiele lat słyszano jej rozpaczliwy szloch za utraconą miłością.

Podobno do dziś w księżycowe noce na zamku w Szamotułach można spotkać zjawę odzianą w czarne szaty. Najstarsi mieszkańcy mówią, że to właśnie Czarna Księżniczka wraca do miejsca swej udręki. Wieża, w której zamknięto Halszkę nazywana jest Basztą Halszki lub Wieżą Czarnej Księżniczki. ♦



O TRZCIANECKIEJ SARENCE

K ojarzycie pomnik ślicznej sarenki w Trzciance? Nie wiecie pewnie jednak, że wiąże się z nim pewna historia... o krawcu.

Działo się to prawie dwieście lat temu. Żył sobie pewien krawiec, Norbert mu było na imię. Dobry i poczciwy człowiek. W całej okolicy co ważniejsze roboty jemu zlecano, bo jak co uszył to porządnie, długie lata wytrzymało. Pantom szył suknie na wielkie okazje, do dworskich salonów poduchy, do kościoła zdobne proporce.

Tamtego dnia siedział jak zwykle przy swojej robocie, gdy drzwi się otworzyły.

– A to ty, Marysiu, wejdz, wejdz – zaprosił do wnętrza kowalową. – Co cię do mnie sprowadza?

– Suknię będę potrzebowała dla córki. Za mąż wychodzi. A może przy okazji i dla mnie coś byś uszył?

– O, szczęście do waszego domu zawitało! – pogratulował krawiec. – Z pewnością dla obu pań coś odpowiedniego wymyślimy.

– A twojej żonie jak się wie, powiedz no. Markotny jesteś taki – zauważyła kowalowa.

– A widzisz no, cóż mam ci powiedzieć – ścisząc głos, aby żona z drugiej izby nie słyszała, dodał po cichu – jest coraz gorzej. Czas mija, a ona z każdym dniem ginie w oczach. Sama widzisz, że po kuchni już się nie krząta jak dawniej. Leży cały czas. Z sił opadła zupełnie. Widzieć nikogo nie chce.

– A u lekarzy jakich byliście? No i coś przecież powiedzieli, prawda? – drażyła kobieta.

– Wołaliśmy medyków i z gminy i z miasta, i nawet z daleka kilku przyjechało. Wszyscy tak samo odpowiadali: „Nie wiem na co choruje, nic niestety nie mogę pomóc”.

– Eh, trudna sprawa – zamyśliła się kowalowa. – Ale jakieś rozwiązanie przecie być musi. Już wiem! – podskoczyła w miejscu i podrapała się po głowie. – Dlaczego ja wcześniej o tym nie pomyślałam, dlaczego?!

– Kowalowa, co ty wygadujesz? – zdziwił się Norbert.

– A może i wygaduję, ale sam zobaczysz. Jest nadzieja dla twojej żony. Ale zrób, co ci powiem – rzekła doniosłe. – Idź głęboko w las, na północ. W odległości dnia drogi, niedaleko Niekurska, znajdziesz jaskinię – tłumaczyła powoli. – Mieszka w niej pustelnik. Idź o radę go pytaj. Słyszałam, że niejedną raz w tak zwanym beznadziejnym przypadku ten człowiek miał jakąś cudowną radę.

– Obiecuję się nad tym zastanowić – usłyszała, gdy była już na progu.

„Dzień drogi w jedną stronę. Przecież łącznie dwa dni pracy bym stracił! Cenne dwa dni! W mojej sytuacji nie mogę sobie na to pozwolić” – rozważał w swej głowie propozycję. I zabrał się krawiec za szycie.

Nazajutrz wstał jak zawsze, teraz jednak wcześniej niż bywało to kiedyś. Poza swoją pracą bowiem, również obowiązki domowe wykonać musiał.

– Marto, Marto! – woła do żony, chcąc ją uściskać na powitanie. Ta jednak ledwie co oczy otwierała.

– Norbert... Kochany mój... Dobrze, że jesteś – mówiła słabym głosem. – Dobrze... – i ze słabości w sen zapadła.

– O, nie! – zawołał strapiiony. – Nie stracę cię! Za radą kowalowej pójde do tego pustelnika. Czekaj tu na mnie Martusiu. Zobaczysz, wrócę i wszystko będzie lepiej!



Ucałował żonę na pożegnanie. Spakował nieduży węzelek, polecił sąsiadce, aby jej doglądała i ruszył w drogę.

Krawiec nigdy nikomu nie wyjawiał, co mu pustelnik polecił. Do dziś pozostało to ich świętą tajemnicą. Wiemy za to, że wracając do domu znalazł poranioną, ledwie żywą sarenkę.

– Chodź ze mną malutka. Obiecuję, że będę dbał o ciebie. Mam w domu żonkę chorą, z którą cały dzień nie mogę przesiadywać, bo pracuję. Będiesz dobrym dla niej towarzystwem.

Ufne spojrzenie sarny, przypominało mu oczy jego Marty. Tym chętniej niósł zwierzę całą drogę do domu.

– Tu będziesz spać – wskazał na miejsce koło pieca. – Będzie ci ciepłutko i szybko wydobrzejesz.

Marta rano oczy otworzyła i z zaskoczeniem poczuła, że sarna liże ją po policzku. Chora kobieta pierwszy raz od dawna się uśmiechnęła, pogłaskała ranne stworzenie i podsunęła miseczkę z wodą.

– Pij, proszę – powiedziała cichutko.

Norbert dokładnie opatrzył rany zwierzęcia. Od wiejskiego weterynarza maści specjalne przyniósł. Mlekiem napoił. O, troski mu odmówić nie można. Z równym zaangażowaniem opiekował się teraz obiema – żoną i sarną.

Obecność żyjątka sprawiała, że w chacie krawca zaczęło się robić weselej. Z dnia na dzień sarenka wracała do zdrowia i, co jeszcze bardziej zdumiewające, zdrowiała również Marta.

Kiedy sił miała już na tyle, aby z łóżka wstawać, podeszła do męża.

– Kochanie, nie wiem jak to się stało, ale chyba niebiosy same zesłały pod nasz dach to dobre i urocze zwierzę.

– Kto to wie, kto to wie najdroższa, pewnie i tak jest – uśmiechnął się tajemniczo. – Rad jestem, że obie coraz więcej sił macie.

Na twarz krawca wrócił dawno niewidziany uśmiech. Widząc żonę w pełni sił, w końcu ze spokojnym sercem z domu wychodził, aby swoje sprawunki załatwić. Bo wiecie, krawiec, jak to krawiec – czasem musiał do klienta pojechać, miarę wziąć, materiał w mieście kupić.

Pewnego dnia chłopina wychodzi z domu, zamyka furkę, patrzy i oczom własnym nie wierzy. Obok niego, na drodze sarenka stoi.

– Pójdź do domu. Nie możesz iść ze mną – odgania zwierzę. Ale co uszedł kilkaset metrów i odwracał głowę widział idącą za nim sarenkę.

– No dobrze. Idę dziś tylko w jedno miejsce. Jak chcesz, to chodź. Wieczorem odprowadzę cię do lasu, skąd cię zabrałem.

Cały boży dzień sarenka dreptała za swoim wybawicielem jak wierny pies, krok w krok. Ludzie dziwili się temu niecodziennemu widokowi. Podchodzili, głaskali sarnę. A ta – nauczona, że człowiek jej krzywdy nie robi – nie bała się ich wcale.

Nadszedł wieczór.

– No dobrze, a teraz pójdziemy do lasu tam, gdzie twój dom – wytłumaczył zwierzęciu, gdy wchodzili do boru. Uszli z pół godziny drogi, aż dotarli do odpowiedniego miejsca. Stali na pięknej polanie, kolorowej od kwiatów, pachnącej od ziół. Wokół rozpościerały się drobne zarośla, a za nimi gęstniał las.

– Zostań tu, proszę. To twój dom – wskazał palcem na okolicę i odszedł.

Wrócił do domu, przekonany, że ostatni raz widział swoją sarnę. Przez moment nawet smutno mu się zrobiło. Przywiązał się bowiem do tego stworzenia bożego. Rano wstaje, przed chatę wychodzi. Przeciera oczy ze zdziwienia.

– A co ty tu robisz?! – krzyknął, widząc jak sarna spokojnie skubie trawę. – Widzę, że jesteś bardziej uparta, niż przypuszczałem – powiedział z uśmiechem, głaskając ją po grzbiecie.

Tego dnia znów chodziła za krawcem krok w krok, tuliła się do Marty i przesiadywała przy niej w kuchni. I od tej pory powtarzało się to już co dnia. Gdy krawiec gdzie wychodził to już wszędzie z sarenką i niebawem wszyscy w Trzciance ją znali i lubili. Gdy wracali do domu, zwierzę siadało przy Marcie.

Kiedy nadszedł kres życia bożego stworzenia, Norbert chcąc uczcić wierną przyjaciółkę rodziny, postawił na jej grobie pomnik. Sarenka wyglądała na nim jak żywa! Gdy zaś i krawiec swoich dni doczekał, pomnik sarenki postawiono na miejskiej fontannie. Z czasem zaczęto wierzyć, że każdy kto dotknie trzcianeckiej sarenki, tego – tak jak krawca – spotka wyjątkowe szczęście. A czy wy już ją pogłaskaliście? ♦



TUREK

O MILCZĄCYM DZWONECZKU

Dawno, dawno temu na ziemi tureckiej... Nie, to wcale nie jest daleko, wcale nie za granicą. Ziemię turecką wraz z jej stolicą – miastem Turek, znajdziecie w północnej części województwa wielkopolskiego, nad Kanałem Folusz.

To piękne tereny z dużym potencjałem, który rozpoznano już dawno. Pierwsi stali osadnicy pojawili się tu w VI wieku p.n.e. Założyli małą osadę, która rozrastała się i stawała coraz większa. Potem był gród, aż w końcu narodziło się miasto. O najwcześniejszych jego dziejach niewiele dziś wiemy.

Czarne chmury niewiedzy rozwiewają się w XII wieku. Od chrztu Polski minęło ponad 150 lat. A że przyjęcie zupełnie nowej wiary przez cały naród nie było procesem łatwym, intensywna chrystianizacja nie trwała krótko. Budowano kościoły, chrzczono ludzi. Powstawała nowa administracja: diecezje pomorskie, które miały należeć do jednej z dwóch archidiecezji – gnieźnieńskiej lub magdeburskiej. Oczywiście, księciu Bolesławowi zależało na tym, aby diecezje z Pomorza znalazły się w archidiecezji gnieźnieńskiej – czyli polskiej. I ten problem rozwiązała Bulla Gnieźnieńska (w roku 1136). Dokument potwierdził kontrolę arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nad Kościołem polskim.



W tym najstarszym zabytku związanym z językiem polskim, wspomniane jest Turcoviste (czyli nasz współczesny Turek). Pismo potwierdza, że Turcoviste należy do arcybiskupów gnieźnieńskich, znaczy jest miastem kościelnym. W praktyce oznaczało to, że obowiązywał zakaz powszechnego osiedlania się cudzoziemców, Żydów oraz wyznawców religii innych niż katolicka. Taki stan rzeczy utrzymał się aż do czasu rozbiorów, do XVIII wieku. Wtedy to władze zaboru pruskiego przejęły dobra kościelne. Turek przestał być miastem arcybiskupim.

Kilka stuleci pod płaszczem duchownych to długo. Zdążyło nazbierać się wiele historii oraz podań przekazywanych z ust do ust, budujących lokalną tożsamość. Jedno z nich jest takie:

Bardzo, bardzo dawno temu, prawdopodobnie w XVIII wieku, w jednym z kościołów w Turku – pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela – był dzwonek. Niby zwykły, a jednak nie do końca, bo nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Nie miał na sobie nawet najmniejszej skazy, żadnego znaku uszkodzenia, nie co mogłaby wskazywać na to, że nie działa właściwie. A jednak milczał jak głaz. Dziwne, prawda?

– Kiedyś pięknie brzmiał – opowiadał tajemnicę instrumentu stary kościelny. – Najpiękniej ze wszystkich dzwonek. Miał głos bardzo dźwięczny i donośny, dlatego też używano go do przewodniczenia księdzu idącemu z Panem Jezusem. Kilkadziesiąt lat temu księdza do chorego wezwano.

– Ale ja nie mam żadnego ministranta – zmartwił się duchowny. – Dziś wyjątkowo gorąco. Kto może w chałupie siedzi. Kto będzie przed Panem Jezusem dzwonek dzwonił?

– Wielebny Ojciec, proszę się pospieszyć! – ponaglał go bliski chorego.

Ksiądz wyszedł przed plebanie, kiedy właśnie przechodził tamtędy chłopaczek. Trochę obdarty, nieco niechlujny. Minę miał tak naburmuszoną, jakby mu kto na odcisk nadepnął. Rzucił sobie właśnie kamyszkami.

– Umiesz dzwonek dzwonić? – pyta pleban. – Potrzebuję pomocy.

– Ano umiem, a co? Co z tego będę miał? – zadziornie odparł chłopiec.

– Za pomoc się odwdzięczę. A ty bierz dzwonek i chodź ze mną. Tylko pamiętaj, aby powagę należytą zachować.

Ksiądz znał tego gaćka. Doskonale wiedział, że do współpracy zaprosił chłopca o bardzo zepsutych obyczajach, co ani Boga, ani ojcowskiego pasa się nie bał. Czym mogła być dla niego powaga? Dobrze sobie! A jednak zaryzykował.

Szli tak, a młokos dzwonek obdzwaniał wszystkie kąty. A tu pszczoły przepłoszył, a tam kota pogonił. Przed oknami i pode drzwiami, cała mieścina słyszała dzwonenie.

– Ciszej chłopcze, ciszej nieco – prosił ksiądz.

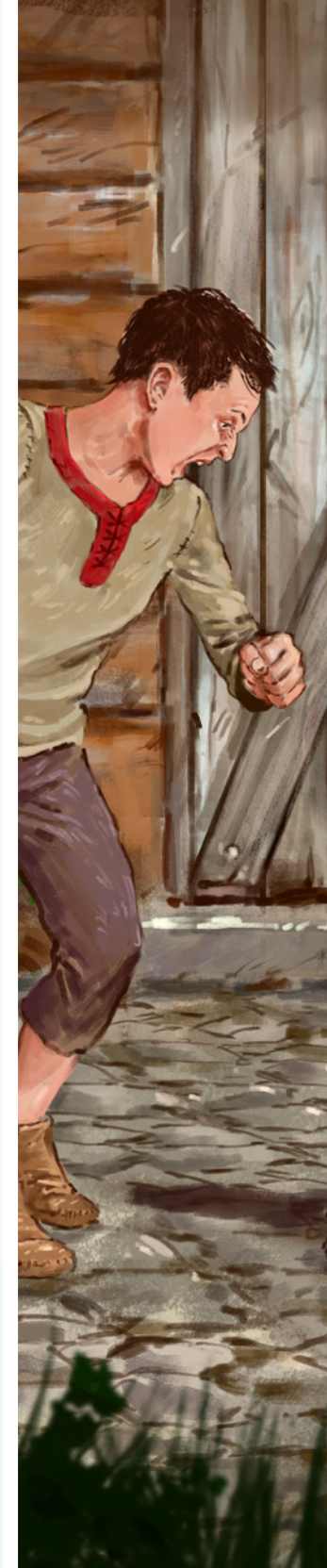
Ale ten, jak na złość, jeszcze głośniej instrumentem potrząsał. Ta to swawola jego, przyczyną była wszelkiego nieszczęścia. Spostrzegł na ulicy psa. Zwierzak leżał i pomimo zbliżania się księdza ze swojego miejsca powstać nie raczył.

– Co, na Pana Jezusa nie wstajesz!? – wrzasnął na niego trzpiot.

I trącił w niego z całej siły poświęconym dzwonek, który od tamtej chwili przestał dzwonić. Odtąd dźwięku już nie wydał i po wielu latach gdzieś zniknął.

Nie istnieje też, związany z przytoczoną legendą, kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Spłonął w 1813 roku. Nawet najstarsi mieszkańcy Turku nie wspominają dziś legendy milczącego dzwonka z nieistniejącego kościoła. Przetrwiała ona dzięki zapiskom Edwarda Raczyńskiego, badacza i mecenasa kultury narodowej.

Jak widzicie Turek, miasto z wielkim potencjałem, ma jeszcze sporo tajemnic do odkrycia. Z pewnością też inne miejskie opowieści ukryte są gdzieś w galerii obrazów wielkoformatowych, albo w polichromii kościoła pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa, wykonanej przez Józefa Mehoffera. ♦





WRONKI

O ZAŁOŻENIU WRONEK

Początki tego pięknego i prężnie rozwijającego się miasta owiewa pewna tajemnica. Otóż byli tu kiedyś osadnicy. Nad brzegiem Warty zostawili po sobie grotty strzał. Działo się to 8 tysięcy lat p.n.e. Co się potem z nimi stało? Założyli gród, czy emigrowali w poszukiwaniu nowych siedlisk? Kto to wie!? Na jakiś czas słuch o nich zaginął.

O kolejnych lokatorach tychże ziem dowiadujemy się wiele lat później. Gdzieś w mrokach średniowiecza, w pierwszym tysiącleciu wyjątkowo radośnie i wesoło tu było. I był zamek. Duży. Gdy padały nań promienie słońca mienił się żółcią, złotem i czerwienią – mówiono o nim „kolorowy zamek”. Stał tuż nad rzeką Wartą. Pięć wież było na szczycie, a na każdej gniazdo. Na każdym z gniazd siedziała czarna wrona. Gdy tylko słońce rozpoczynało swą wędrówkę po nieboskłonie, owe wrony budziły się i zaczynały rozdzierać dzioby. Krakąły co sił. Hałasu robiły co niemiara. I, jak się pewnie domyślicie, budziły rycerską rodzinę oraz wszystkich innych mieszkańców zamku. Co bardziej żartobliwi włościanie, mówili o twierdzy, że cała wygląda jak olbrzymie ptasie gniazdo.

Włodarzem tam był Warcisław herbu Wrona – rycerz daleko w latach posunięty, ale najodważniejszy z odważnych. Zamieszkiwał on zamczysko wraz z ukochaną córką Dąbrówką oraz



służą. Rodzina bardzo się kochała. Córka często mówiła do ojca pieszczotliwie „tatku” albo „Wronko”. To drugie określenie podchwycili poddani, którzy również zaczęli go tak nazywać.

Matka Dąbrówki zmarła wiele lat temu. Wronko sam wychował córkę na mądrą i piękną kobietę. Nawet w dalekich stronach mówiono o niej, że piękna jest jak poranna rosa, jej oczy jak szmaragdy, a lica jak płatki róży. Nic dziwnego, że wielu przystojnych i bogatych mężczyzn starało się o jej rękę. Ale oczekiwaniom Wronki żaden kawaler nie mógł sprostać. Ten za głupi, tamten niezdarny, jeszcze inny nieokrzesany. A że i samej Dąbrówce nie spieszo było do zamążpójścia, kolejni kandydaci wracali do domów z kwitkiem.

Pewnego dnia, z samego rana, ktoś do bram zamku się dobijał. Warcisław pyta służącego:

– Idźcie no sprawdzić, któż tak łomocze!

– To Jaroǳniew, Jaśniepanie. Z tobą chce mówić – oznajmił zdyszany sługa.

– Ech, czegoż tu ten okrutnik szuka? – zastanawiał się Warcisław, schodząc do bramy.

Jaroǳniew rycerzem był co prawda odważnym, ale opinię miał wielce niepoohlebną. Miodu pił dużo, a gdy przesadził, co w zasadzie było u niego regułą, wszczynał bójki. Nie raz cudze mienie zniszczył i niejednemu kompanowi kulasy powykręcał. Z jakiego powodu? Ot, dla zabawy. Kto mógł, trzymał się odeń z daleka. Jaroǳniew ǳniwny bowiem był za dziesięciu.

Gdy tylko Warcisław do kraty doszedł, Jaroǳniew skoczył do niego:

– Po córkę twoją przybyłem. Daj mi ją za żonę!

– Tobie? – zaśmiał się tubalnie ojciec. – Musiałbym rodzzonego dziecka nie kochać, aby dać je komuś takiemu, jak ty. W życiu jej nie dostaniesz!

– Bez niej na krok się nie ruszę! Pożalujesz tego! Pożalujesz! – krzyczał Jaroǳniew, gdy straż zamkowa siłą wprowadzała go za mury.

Upokorzony i rozjuszony obiecał sobie, że zdobędzie Dąbrówkę za wszelką cenę, nawet jeśli będzie musiał użyć podstęp.

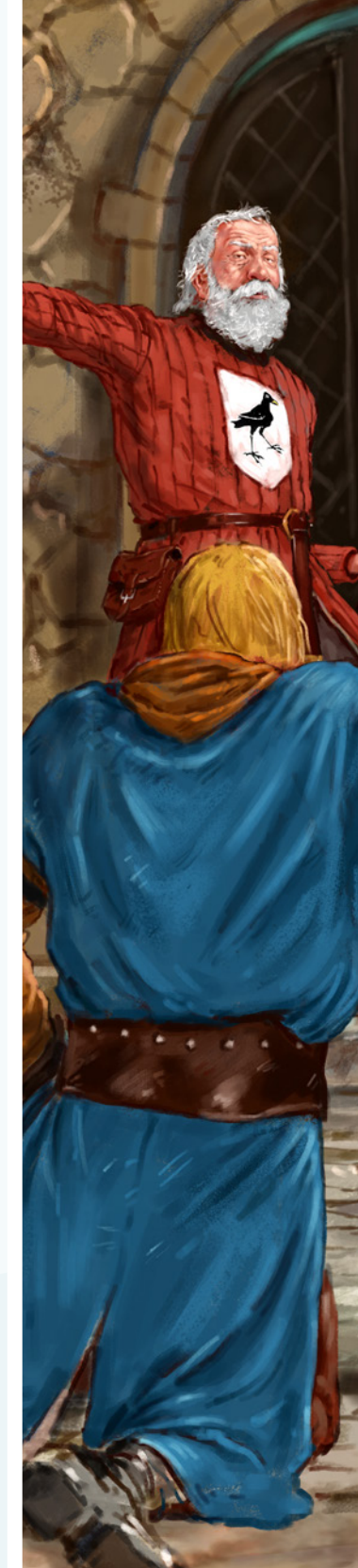
Kilka tygodni później, gdy nikt niczego się nie spodziewał, ǳniwny rycerz zakradł się pod mury zamku i wzniecił pożar. Na dziedzińcu sporo słomy leżało. Ogień błyskawicznie objął wszystkie zabudowania. Warcisław zginął, wynosząc córkę z płonącej komnaty. Jaroǳniew uradował się wielce, widząc, że jego wróg skonał.

– Szczęście mi dziś sprzyja – wycedził przez zęby Jaroǳniew, pochwycił nieprzytomną Dąbrówkę i uprowadził do swojej twierdzy.

Osierocona dziewczyna wpadła w rozpacz. Po wielokroć próbowała się uwolnić, ale za każdym razem okrutny rycerz jej to udaremniał. Zrozpaczona postanowiła:

– Pozbędę się nikiemnika!

I podała mu do picia napój wielce trujący. Wypił połowę i widząc, co się z nim dzieje, ostatnimi siłami zmusił Dąbrówkę by skosztowała trunku. To wystarczyło. Oboje zasnęli na wieki. Z pożaru na zamku Warcisława ocalał tylko jeden, oddany dworzanin, który postanowił zbudować osadę i nazwać ją na cześć swego pana – Wronki. Siłami okolicznej ludności powstał ǳród, później miasteczko. Wronki stale rozwijały się i gdy w 1279 roku można było o nich przeczytać w księgach, były już miastem nad Wartą, na skraju olśniewającej przyrodą Puszczy Noteckiej. Dziś Wronki łączą w sobie tradycję z nowoczesnością i zapraszają wszystkich do odkrycia ich wyjątkowej historii i folkloru. ♦





O TYM JAK ŚW. WAWRZYNIEC ZATRZYMAŁ POŻAR

Historia, którą poznacie działa się dawno temu. Jak dawno, nikt tego nie wie. Niedużą miejscowość, położoną 4 km na południowy wschód od Wronek, zwano jeszcze wtedy Samolese. Jej włodarzem był klasztor cysterek.

– I jeszcze to słońce! – wyszeptała Boguchna, starła chustą pot z czoła i wróciła do plewienią ogródka. Roboty miała dużo. Tu komosy cała grządka, tam osty... Końca nie widać. A słońce grzało niemiłosiernie. Co rusz zerkała czujnym okiem matki, czy biegające przed chatą dzieci nie wpakowały się w jakie tarapaty. Wszystko było w porządku. Razem ze swym ojcem – Chwalibogiem nosiły do obory kubeczki wody.

„Dobry pomysł. Niech napoją zwierzęta. Im przecie też gorąco doskwiera” – pomyślała. Wstała i wyprostowała zmęczone plecy. Z daleka usłyszała odgłos łamanych gałęzi.

– E, to pewnie wóz jedzie – powiedziała półgłosem sama do siebie i wróciła do pracy.

Tymczasem na przeciwnym końcu wioski nie było już tak spokojnie.

– Ogień! Pali się! – krzyčeli ludzie.

Pospiesznie wybiegali z chat, wyprowadzali starszych, wynosili małe dzieci.



– Moje krowy! – krzyknął ktoś.

Kto inny rzucił się na ratunek zwierzętom. Przestraszone wyprowadzano z obór i próbowano przywiązać w bezpiecznej odległości. Połowa trzody zdążyła już spłoszyć się i rozbiec po pobliskich łąkach. Z izb wynoszono co się dało. Wpierw żywność, ubrania, potem kołdry, garnki, krzesła. Kto miał wóz, pakował nań co mu w ręce wpadło, bo w pośpiechu trudno ocenić, co z dobytku najbardziej przydać się może.

Płomienie szalały. Zabójczym gorącym płaszczem pokrywały stodoły, niszczyły płoty i sięgały aż po dachy domostw.

Chata Boguchny, stojąca na uboczu, w sporym oddaleniu od całej tej tragedii, była póki co bezpieczna. Dopiero gdy Maciejowa dobiegła do niej z krzykiem:

– Pomóżta ludzie!

Boguchna odwróciła i zdębiała. Zobaczyła coś, w co trudno było uwierzyć. Płomienie jak brzozy były wysokie. Przeraziła się. W swoim życiu przeżyła już jeden pożar. Była wówczas jeszcze mała. Ogień zabrał jej rodzinie dom i wszystkie zapasy żywności, a tatko rany po poparzeniach całe miesiące leczył, bo przecie próbował ratować co się dało. Bolesne wspomnienia wróciły teraz z podwójną mocą. Na szczęście po chwili Bogna ocknęła się i zawołała:

– Nie nam nie będzie! Chwalibóg, zabierz dzieci w bezpieczne miejsce, a potem pomóż innym.

Sama natomiast jak błyskawica wpadła do domu, zdjęła ze ściany obraz świętego Wawrzyńca i biegła z nim pod pachą:

– Maciejowa, zobacz! To patron ubogich, niejedną wieś przed pożarem uchronił. Módlmy się! – poleciła. – Błagajmy, a dobry Bóg pomocy nie odmówi. Uratuje nas za pośrednictwem tego świętego.

Wzięły obraz i popędziły zbierać pozostałych, każdego do modlitwy nawołując.

– To nasza jedyna nadzieja! Módlcie się ludzie! – woła Boguchna.

Postawiła obraz na ziemi i by dać przykład, padła na kolana. A że kobieta to była dobra i posłuch we wsi miała jako ta, której Bóg zawsze dopomaga, klękały obok niej baby jedna po drugiej i modły odprawiały.

Wtem wiatr dmuchnął straszliwy. Piasek na ziemi kotłować się zaczął. Ogromne tumany kurzu wzniosły się w powietrze i uderzyły wprost w ogień, jakby kto niewidzialną łopatą walił. Piach wdzierał się wszędzie, więc ludziska oczy pozakrywali, powieki zaciskając z całej siły. Kto miał chustę, szybko zamotał się nią cały. Tylko najodważniejsi i tylko ukradkiem śledzili dziejące się wydarzenia. Z każdym podmuchaem wiatru pożar malał i coraz bardziej wycofywał się z wiejskich zabudowań. Chmury zebrały się ciemne, deszczowe. Ulewa lunęła jak z cebra, gasząc wszystko, czego nie zdołał przepędzić wiatr. Przemoczeni mieszkańcy wsi Boгу dziękowali. Wioska była ocalona!

Na pamiątkę tych wydarzeń, a także w geście dziękczynienia, na środku Samołęża wzniesiono kapliczkę z figurą świętego Wawrzyńca. Znajdziecie ją w miejscu skrzyżowania trzech dróg, gdzie zobaczycie również trzy domy, stojące blisko kapliczki. Jak mówi legenda są to chaty, które ocalały przed pamiętnym pożarem.

Tak, jak niegdyś mieszkańcy niedużej wsi Samołęż zaskoczyli pożar, tak dziś gmina Wronki może bardzo cię zaskoczyć. A czym? Olśniewającą przyrodą, technologiami na światowym poziomie, wysoko rozwiniętym przemysłem, a przede wszystkim swoją gościnnością. ♦



O KLASZTORZE W LIPÓWCE

Znacie mały drewniany kościółek na Lipówce? A dacie wiarę, że na jego miejscu był kiedyś klasztor? To najprawdziwsza prawda. A zaczęło się wszystko, jak to często bywa, od wielkiej i tragicznej miłości.

Tego roku równonocy wiosennej oczekiwano bardziej niż zazwyczaj. Sroga zima dała się we znaki. Okolice skuła lodem i uszczupliła spiżarnie tak, że ledwo co jeszcze w nich pozostało. Zaczęły zaglądać w okna dające nadzieję, cieplejsze promyki słońca. Zaczynała się wiosna. Na tę okazję od kilku dni przygotowywano wielką zabawę. Ciągnął na nią lud z całej Wrześni i okolicznych wsi. Pod karczmę zajeżdżały wozy pełne ludzi. Ci co bliżej mieli, szli pieszo. Panny strojne w piękne wstążki i koronki, kawalerowie uśmiechnięci, grajkowie, lutniści... Oj, kogo tam nie było.

– Andrzej – zawołał Bartek. – Chodź no rozejrzemy się za jakimi pannami! – ciągnął go za rękaw, bo ten wcale nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca. – Stoisz pod ścianą jak kolek! – skarżył się na kompana. Podszedł bliżej, pomachał mu ręką przed oczyma – żadnej reakcji.



Andrzej jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jeden punkt. Bartek próbował złapać ten sam punkt widzenia. – Hola hola! Co ja tu widzę!? – śmiał się Bartek. – Dobry masz gust bracie!

Okazało się, że Andrzej stał pod ścianą tylko dlatego, że stamtąd najlepszy miał widok do obserwacji pięknej Jadwigi.

– Ona jest jak anioł – wskazywał Andrzej na Jadwigę. – A jak się uśmiecha, to jakby niebo się otwierało – mówił, cały czas wpatrując się w dziewczę o dwóch złotych warkoczach i rumianych policzkach.

– No idź do niej – namawiał Andrzeja Bartek.

– E, gdzie tam ja do niej! – prychnął Andrzej. – Ja biedny szlacheć, ona starościanka. To nie miałoby szans.

– Jak nie pójdziesz, to się nie przekonasz – wyszeptał do ucha brata Bartek i wypchnął go na środek izby tak, że znalazł się tuż przed Jadwigą.

Jak zaczęli rozmawiać, tańczyć, żartować – świata poza sobą nie wdzieli. Okazało się, że i Andrzej jest miły Jadwidze. Młodzi zapalali do siebie wielką i szczerą miłością. Ich tajemne spotkania zawsze jednak kończyły się tak samo. Gdy tylko Jadwiga przekraczała próg domu, od razu wzywał ją ojciec:

– Znowuż się włóczyła z tym swoim szlachećcem, co? – atakował ją.

– Nie twoja to sprawa, tatku – odwracała hardo głowę.

– Ano moja, moja. Za kasztelanica masz iść! Ustalone to przecie od dawna. On ma majątek i przyszłość ci zapewni godną. Niczego nie będzie wam brakować. A ten szlacheć ubogi jak mysz kościelna. Wybij sobie go z głowy!

– Córciu – błagała matka. – Nie widzisz, że to dla twojego dobra? Zaniechajcie tych spotkań, bo ludzie niepotrzebnie o was gadają. Jeszcze do uszu kasztelana dojdzie i gotów ze swoich planów względem ciebie zrezygnować.

– A niech dojdzie!!! Tym lepiej dla niego i dla mnie! On stary i obleśny. Nie chcę takiego męża! – wrzasnęła i odeszła.

Następnego razu, gdy spotykali się potajemnie, pocieszał ją kochanek:

– Nie martw się ukochana, pójdę do twych rodziców. Może ich ubłagam.

Wystroił się jak na wesele. Zabrał ze sobą swata i poszli o rękę Jadwigi prosić.

– Andrzejku, trzęsiesz się jak galareta – upomniał go swat po drodze. – Nerwy nic nie pomogą. Obaczym co wskóramy.

Starosta opinię miał surowego, ale niekulturalny być nie chciał. Wpuścił ich. Wysłuchał i nawet był życzliwy, co zdarzało mu się nieczęsto.

– Znajcie moją gościnność panowie, zasiądźcie do stołu – zaprosił przybyłych. Ci patrzyli po sobie niespokojnie. Wiedzieli bowiem co to oznacza. Wniesiono zupę. Andrzej patrzy i momentalnie gniew w nim wzbiera:

– Ładna mi gościnność! Czarną polewkę nam podałeś! Litości dla swego własnego dziecka nie masz! – wyrzucił z siebie Andrzej i wybiegł z chaty.

Swat dogonił go dopiero po chwili.

– Zrobiłem, co mogłem – tłumaczył. – Co teraz zamierzasz?

– Bez niej żyć nie chcę. Do klasztoru wstąpię. Za wysokimi murami może zapomnę albo przynajmniej nie będę musiał oglądać jej z tym kasztelanem.

Jak postanowił, tak zrobił. W klasztorze przybrał imię brata Konrada. Ze wszystkich sił próbował nie myśleć o ukochanej, gdy pewnego dnia gajowy wręczył mu liścik takiej treści:

„Najdroższy! Życie me bez ciebie straciło wszelki smak. Łzy rzewne ronię każdej nocy. Płacę jeszcze więcej, gdy przypominam sobie nasze wspólne chwile. Od tygodnia nic nie jem, a na myśl o ślubie z kimś innym niż ty, robi mi się słabo. Muszę cię zobaczyć choć na chwilę. W innym wypadku umrę ze zgryzoty”.

Andrzejowi oczy zabłyszczały. Musiał Jadwigę jeszcze raz zobaczyć. Przekazał gajowemu liścik ze swoim planem na schadzke. Pewnej nocy więc, młodzi spotkali się w ogrodzie klasztornym, do którego można było wejść przez wyrwę w murze. Ich rozmowę podejrzwał jednak brat Anzelm i powiadomił o tym przeora.

– Zamurujcie natychmiast tę wyrwę. Oby pierwszy i ostatni raz coś takiego miało miejsce w naszych murach! – polecił przełożony. Czerwony ze złości wstał i wypowiedział straszi-

we słowa: – Niechaj raczej klasztor zapadnie się pod ziemię, niż w jego murach zaistniałaby miłość inna jak do Boga.

Nikt wtedy nie przypuszczał nawet, że straszna ta przepowiednia ziścić się może.

Tymczasem nastał dzień ślubu starościanki. W kościele farnym zebrali się wszyscy zaproszeni goście. Wkrótce przybyła Jadwiga, cała w bieli, prowadzona do ołtarza przez ojca. Gdy już stała sama na środku kościoła, nagle padła zemdlona.

– Ludzie ratujcie ją! – wołał ojciec.

Próbowali polać wodą, napoić, tętno sprawdzali, nacierali skronie. Nic nie pomogło. Wtem z tłumu wybiegł zakapturzony mnich.

– Przepuście mnie, przepuście, ludzie! – krzyczał dobiegając do dziewczyny. Obejrzał omdlałą. – Tylko klasztorne receptury coś tu działać mogą – orzekł stanowczo.

– Zanieście pannę do mieszkania kościelnego i poczekajcie – polecił.

Wszyscy czekali cierpliwie na zewnątrz. Nagle z podwórza, pełnym gwałtem, wypadła na drogę kareta. Pan młody, widząc w karecie swą niedoszlą żonę i mnicha w mig zrozumiał co się stało.

– Ściągać ich! Nikt nie będzie wystawiał mnie na pośmiewisko! – rozkazał i puścił się w pościg za uciekającymi.

Kochankowie dojechali już do bramy klasztoru i zaczęli dobijać do furty.

– Przez wyłom w murze dostaniemy się do lasu, tam się ukryjemy i dalej swobodniej uciekać będziemy mogli – tłumaczył Andrzej.

– O, nie! Straceni jesteśmy – zasmuciła się Jadwiga widząc, że wyrwa, w której taką nadzieję pokładali... jest zamurowana.

Padli sobie w ramiona, stali tak wtuleni w siebie, czekając na zemstę kasztelana biegnącego w ich stronę z szablą w ręku. Nagle straszny błysk rozdarł niebo, zerwał się wicher. Klasztor ciemność okryła taka, że na metr nie widać nie było. Po dłuższej chwili wszystko wróciło do normy, ale... jednak nie wszystko. Nie było już klasztoru i nie było ludzi. Wszystko zapadło się pod ziemię. W ten sposób spełniły się groźne słowa przeora. Po wielu, wielu latach w miejscu tym wybudowano mały, drewniany kościółek. ♦



O POWSTANIU WYSOKIEJ

– **D**ziś chciałbym poznać te zakątki moich włości, gdzie nigdy żem jeszcze nie był – oznajmił księżę wielkopolski Bolesław Pobożny swemu podkomorzemu Mikołajowi. – Może byś mi je pokazał? Wiesz, że chciałbym, aby tamtejsze ludy bliżej z nami były zjednoczone. I chciałbym, abyś ty mi w tym pomógł. Przygotuj proszę mnie i ciebie do podróży.

Księżę Bolesław z Podkomorzym zabrali zastęp wojów, wsiedli na konie i wyruszyli.

– Patrzaj – powiedział zachwycony widokami księżę. – Ziemie te doprawdy są piękne i żywe. Nie tylko lasy mamy tu pełne saren, dzików i lisów. Te łąki ziół ciągną się daleko. Widzieliśmy jeziora, a na łąkach gniazdowały liczne ptaki.

Przemierzali bory i bagna, które od piastowskiej wielkopolski oddzielała rzeka Noteć.

– Szczęśliwy kto zamieszkuje tak malowniczy, pagórkowaty teren – oznajmił władca.

– A bo ja wiem – rzucił mu podkomorzy. – Dużo tu jest osad, ale słyszałem, że plemiona tutejsze niecywilizowane są. W bogów pogańskich wierzą, obyczaje chowają pradawne.

Gawędząc tak, zajęchali w okolice gór, zwanych Wysokimi. W tej chwili ludzie jacyś w skóry odziani wybiegli im naprzeciw. Każdy oszczep w rękę dzierżył. Na przyjacielskie powitanie to nie wyglądało.

– Pogańskie ludy, nie obawiajcie się! – zakrzyknął głośno Bolesław. – Jam jest prawowitym władcą tej ziemi. Krzywdy wam nie zrobię. Jeno poznać bliżej pragnę i bardziej się z wami zjednoczyć.

Na te słowa, na czoło przybyszów wysunął się człowiek okazalej ubrany niż pozostali. Po wszechnym szacunkiem widać otoczony.

– Zwą mnie Sławko – powiedział. – I to ja rządę tymi plemionami.

– Nikt ciebie od władzy odsuwać nie zamierza. Postuluję tylko, abys przyjął pomoc mego podkomorzego Mikołaja. On przekaze wam wiedzę, którą i my posiadamy. Użyteczna ona i sprawi, że łatwiej się wam będzie żyło.

Nikt nie lubi obcych na swej ziemi, dlatego domyślić się można, że lud owy również niezbyt przychylnie nastawiony był do propozycji księcia.

– O tobie książę żeśmy słyszeli, ale o nim? – zaśmiał się Mir, pierworodny syn Sławko.

– Własnym słowem za tego człowieka ręczę – odparł Bolesław. – Ale jeśli jaką krzywdę mu uczynicie, ze mną do czynienia mieć będziecie!

Nastąpiła chwila ciszy. Mikołaj Przedpełkowic z roku Łodziów zsiadł z konia.

– Czyńcie, co do was należy, Mikołaju. Z Bogiem – powiedział książę Bolesław, zostawiając jednego ze swoich najlepszych ludzi. Sam wraz z wojami odjechał.

Zabrali Mikołaja do wioski, a ten, aby zbyt wiele czasu z tubylcami nie musieć spędzać, natychmiast chciał wprowadzać reformy swoje.

– Zburzcie swoje stare chaty. Pokażę wam jak macie lepsze, solidniejsze postawić – zaczął im proponować.

– Mikołaju – wstrzymał go Sławko. – Przyszedłeś z daleka, jakim prawem chcesz nam rozkazywać i mówić co robić mamy? Pierwej poznaj nas nieco. Chcesz wiedzieć jak witamy przybyszów, którzy naszych zwyczajów respektować nie chcą?

Wzburzony Sławko rozkazał swoim synom: Mirowi, Wojemiłowi i Świeciechowi przywiązać go do drzewa. Gdy wieczorem zorganizowano ucztę, najmłodszy syn Sławko Świeciech podszedł do Mikołaja wyznając:





teksty | Krystyna Truszczyńska, legendy na stronach: 4, 9, 14, 20, 25, 30, 35, 40, 45, 51, 57, 63, 73, 78, 83, 89, 95, 100, 104, 110, 115, 120, 124, 128, 134, 139, 144, 148, 152, 156 | Henryk Brodziak, legenda na stronie: 69 | Karol Dziamara, legenda na stronie: 161



ilustracje | Tomasz Ściolny



koncepcja wydawnicza | Antoni Bochen
redakcja | Joanna Walentowska
skład DTP | Dyrta



wydawca | QUIXI MEDIA Sp. z o.o.
adres | 85-782 Bydgoszcz, ul. Matejki 1a
kontakt | tel. 52 551 37 66, quiximedia@gmail.com



ISBN 978-83-61840-39-8